

# ŻYCIĘ

ROK XI — NR 37 (534)

NIEDZIELA, 15 WRZEŚNIA 1957 R.

CENA 1/6



Nocą, przy świetle trzymanyh w ręku świec, 30.000 młodzieży J.O.C. odbywa drogę krzyżową w Colosseum.  
(Patrz artykuł na str. 6).



**KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”**, — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734  
**Redakcja:** Godziny przyjęć codziennie w wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.  
**Administracja:** Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.  
**Prenumerata (płatna z góry):** miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.  
**Wpłaty:** a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia”. Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

**Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolor. 100% drożej.  
**PRZEDSTAWICIELSTWA:** **Argentyna:** „Libreria Polaca”, Serrano 2076, plaso I, Buenos Aires. **Australia:** „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **E. Treister**, 138 Burton St., Darlington, N.S.W. **Belgia:** Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia:** Księgarnia Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania:** Ka. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja:** Ka. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Lecer, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia:** B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada:** Canadian Mosato Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy:** St. Mikleluk, Gablonzstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia:** B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.:** „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; **Veritas Americana**, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria:** Mme B. Gierszowska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja:** Mgr. B. Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy:** Mme Bulhak-Jelaka, via Salaria 300 C Roma.

## PUNKTY WIDZENIA

### SPRAWA ZIEM ODZYSKANYCH

Pragnę poruszyć tu jedną ze spraw bardzo doniosłych, która dziwnym trafem zeszła w ostatnich dziesięciu miesiącach na plan dalszy. Chcę poruszyć sprawę Ziemi Odzyskanych. Najpierw jednak muszę wynotować parę uwag na temat prasy wychodzącej w Kraju.

Jest rzeczą ciekawą, że choć żywiołowość w politycznym życiu popaździernikowym mocno wygasła i wygasa dalej, choć coraz silniej występuje na wierzch szara proza dnia opartego na zmienionych, ale błędnych założeniach generalnych, lecz euforia w prasie trwa nadal. Jest coś wzruszająco szalonego w tych spięrzonych górach słów, które ukazują się w dziesiątkach tygodników o wielkich formatach, pełnych wielkich syntez, projektów i — wielkiej deklamacji.

Robi to wrażenie, że dla prasy w Polsce ciągle jeszcze trwa okres upojenia niezwykle zdarzeniami października, że nie spostrzeżono w niej, iż czas już mówić o podjęciu wysiłku poprawienia tego, co słusznie zostało poddane krytyce, o rozpoczętych w tym celu pracach.

Jedną z takich prac dotyczy spraw związanych z Ziemią Odzyskaną. Temat ten, owszem, pojawiał się w minionym okresie w prasie krajowej, choć odnosił wrażenie, że został jednak nieco odsunięty.

W zasadzie omawianie sprawy Ziemi Odzyskanych w artykułach prasowych, ogranicza się obecnie do dwóch zakresów treściowych: krytyki istnienia skandalicznej gospodarki dotychczasowej tych ziem z cytowaniem szczególnie jaskrawych zaniedbań, oraz do wspominek historycznych, dotyczących polskości tych terenów. Nikt nie przeczy, że tematyka ta jest ważna i potrzebna, zwłaszcza jeśli jest rozwijana według jakiegoś planu, ale przecież nie na tym obowiązki prasy w Polsce w stosunku do Ziemi Odzyskanych powinny się ograniczać.

Odwieczne polskie ziemie na zachodzie naszego Kraju, które po wiekach obcego zaboru powróciły w obręb granic Polski, są jedną z tych spraw, która najściślej wiąże myślenie Polaków w Kraju z myślą polityczną emigracji. Wydaje się, że właśnie ona w obecnej konfiguracji międzynarodowej powinna i może czynić wszystko, aby prezentować prawa Polski do tych ziem przed wielkim i drobnym forum świata. Ma w tym kierunku daleko więcej okazji, niż może mieć społeczeństwo w Kraju. Ale, aby to zadanie wypełnić, muszą mieć ośrodki emigracyjne dostatecznie silne zaplecze informacyjne, pogłębionych studiów na te tematy, które mają być światu w sprawach Ziemi Zachodnich przedstawiane.

Duże usługi w tym zakresie oddaje dwumiesięcznik Instytutu Zachodniego w Poznaniu „Przegląd Zachodni” oraz ukazujące się od czasu do czasu monografie historyczne. Wszystkiego tego jest jednak mało. Nie można oprzeć się wrażeniu, że w ostatnich czasach rozpęd do wydawania monografii poświęconych problemom Ziemi Odzyskanych znacznie osłabił.

Nasuwa się myśl, być może niesłuszną, która porównuje osłabienie tempa wydawniczego poświęconego tematowi zachodnim ze wzrostem ilości i wymiaru najprzeróżniejszych tygodników, miesięczników i efe-

meryd. Ale nasuwa się i inna myśl. Jeżeli już dla takich czy innych względów musi wychodzić taka olbrzymia ilość pism w Polsce, i jeśli muszą być w nich drukowane tak olbrzymie, przegadane elukubracje na najróżniejsze, nieraz bardzo płache i białe tematy, niechaj by bodaj część tych płacht używana była do pełnego, właściwego i dokładnego informowania czytelnika o problemach Ziemi Zachodnich. Leżą przede mną, gdy piszę te słowa, ostatnie numery „Tygodnika Zachodniego”, wychodzącego w Poznaniu, a drukowanego na co najmniej osmiu stronicach wielkości „Timesa”. Owszem, w piśmie tym zdarzają się artykuły na tematy Ziemi Odzyskanych, ale przywalone są one z reguły potężną przewagą materiału felietonowego, nieraz zupełnie białego.

Poza tym sprawa samego stosunku do tego tematu zachodniego. W ostatnich dziesięciu miesiącach dowiedzieliśmy się z kilkudziesięciu reportaży, co zmalowano w gospodarce Ziemi Zachodnich za czasów stalinowskich. Słusznie, przynajmniej część prawdy o wspaniałości organizacji komunistycznej na ziemiach polskich została wyciągnięta na światło dzienne. Ale nie tego tylko nam teraz potrzeba w naszych wysiłkach emigracyjnych. My chcemy na przykład wiedzieć, czy te rozbrane cegły miasteczek zachodnich zostały zgrupowane z powrotem, czy zaniedbane warsztaty pracy, fabryki, przedsiębiorstwa, które były przez dwanaście lat niszczone, zostały teraz otoczone należytą opieką, czy obecnie dzieje się tam lepiej? Czy na Ziemiach Odzyskanych zaczęła się poprawa, czy zaczyna tam tętnić pełne życie we wszystkich szych objawach? Czy skończyła się przez kacyków prowadzona akcja gnębienia ludności miejscowej? Co się kryje za wyjazdami Warmiaków czy Ślązaków do Niemiec?

I w tym wypadku nie powoduje emigracja już tylko słuszną przekora wykrywania niedołężności reżymu komunistycznego w każdej jego postaci, ale przede wszystkim potrzeba posiadania w rękach konkretnych informacji i argumentów do polemizowania z propagandą niemiecką. Wspominki historyczne są oczywiście bardzo szacowne, ale to co człowieka zachodniego naprawdę może przekonać, to usprawienie organizacji, to wzrost produkcji, polepszenie standardu życiowego na Ziemiach Odzyskanych. A zwłaszcza możliwość zademonstrowania, że błędy i pomyłki są umiejętnie naprawiane. Nic nie przekonywa tak silnie pragmatycznego umysłu zachodniego jak wykazanie umiejętności w naprawianiu błędów.

A tymczasem, dowiedzieliśmy się, co zepsuta, reportaże o tych sprawach oczekiwały prawdą i drastycznością szczegółów, ale nie wiemy, czy zepsute przynajmniej zaczęto naprawiać. I w tym leży jeden z bardzo wielkich obowiązków prasy polskiej w Kraju: nie tylko skandalizować na dozwolone tematy, ale zamienić zainteresowanie w stały wysiłek, czujność i ciągłość informacji.

Te wiadomości, czy, co i jak się poprawiło na Ziemiach Odzyskanych są nam niezmiernie potrzebne. A więc: czy można prosić o podanie prawdziwych informacji, jak tam jest teraz? J. K.



Pierwszy premier niepodległej Federacji Malajskiej Tengku Abdul Rahman, przywódca UMNO, Zjednoczonej Malajskiej Organizacji Narodowej. Przymerze wyborcze politycznych organizacji: malajskiej, chińskiej i hinduskiej, osiągnięte w ostatnich wyborach dzięki wysiłkom Tengku Abdul Rahmana, przyspieszyło uzyskanie przez Malaje niepodległości.

## W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ZYCIE KRAJU  
 Próby zmian w nauce historii w Polsce  
 Od Związku Młodzieży Wiejskiej do Związku Młodzieży Socjalistycznej  
 Rozpad w Lidze Kobiet

ZYCIE KATOLICKIE  
 Międzynarodowy Kongres katolickiej młodzieży robotniczej

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE  
 Kłopoty Hiszpanii  
 „Merdeka”  
 List Macmillana do Bułganina  
 „Broń jądrowa i polityka zagraniczna”

Str. 2 — Punkty widzenia — J. K.

Str. 7, 8 — Rozwój budownictwa szkół w Wielkiej Brytanii — Wojciech Łęski

Str. 9, 10, 11 — Na marginesie początków państwa polskiego i dokument „Dagome iudex” — Wł. Kujawski

Str. 12, 13 — Notatnik podróży (II) — M. Paszkiewicz

Str. 16 — Ludzie i zdarzenia

## ŻYCIE KRAJU

### PRÓBY ZMIAN W NAUCE HISTORII

Wystarczy przejrzeć choćby kilka podręczników historii, ażeby stwierdzić jak wyglądała dotychczas nauka historii w szkołach w Polsce. Warto przede wszystkim zaznaczyć się z podręcznikiem Schoenbrennerowej, oraz z książkami wydanymi przez Ministerstwo Oświaty do użytku nauczycieli historii. Z podręcznika Schoenbrennerowej wyziera od początku aż do końcowych stron zacięta nienawiść do wszystkiego, co polskie. Nienawiść i stek potwornych przeinaczeń a także i oszczerstw pod adresem naszych postaci historycznych. Uczeń dowiaduje się z tego „podręcznika”, że Polska była od zarania swych dzieł państwem imperialistycznym, w którym stosowany był ucisk człowieka przez człowieka w sposób karygodny, a tylko kapitaliści mieli w nim prawa. Autorka rozprawia się w sposób szczególny z polskimi walkami o wolność: dla niej to była zawsze tylko walka uciemiężonego ludu z kapitalistami. Nawet powstania śląskie miały według tej dziwnej historii tylko walkę z kapitalistami niemieckimi za cel, a nie dążenie do zjednoczenia się z Macierzą. Co jeszcze bardziej brzmi fantastycznie, to wiadomość, że sami Niemcy („lud niemiecki”) pomagali Polakom w tych powstaniach przeciw własnym kapitalistom.

Więc młodzież w szkołach polskich udaje Greka i pyta wykładowców: „I jakże to tak? Uciekali od kapitalistów niemieckich pod opiekę kapitalistów polskich?” Cóż mógł odpowiadać na to biedny wykładowca, co mu pozostawało oprócz robienia dobrej miudy do złej i to całkowicie złej sprawy? Autorka nie liczy się jednak ze sprzecznościami, w zaciekleści swojej nie widzi ich wcale. Nie myśli o tym, że spostrzegą je natychmiast uczniowie, bo chodzi jej tylko o to, żeby rozbudzić w duszach młodego pokolenia jak najwięcej nienawiści do historii własnego narodu. Dla niej — prawdziwa historia Polski rozpoczyna się dopiero od powstania w Polsce partii komunistycznej, a bohaterami jej są Dzierżyński, Waryński, Marchlewski, Nowotko, Bierut, a z czasów przedostatnich „oswobodzicieli” Warszawy marszałek Rokossowski. Największym oczywiście bohaterem naszej epoki jest w oczach tej „historyczki” Józef Stalin, któremu Polska aż dwukrotnie zawdzięczała niepodległość i którego — rzecz prosta — kochać powinno każde polskie dziecko. Więc młodzież polska śmiała się w nos nauczycielom, gdy powtarzali te brednie.

Wyrwać, czy zakleić? Po XX kongresie partii komunistycznej, odbytym w Moskwie w lutym ubiegłego roku, wykładowcy szkolni w Polsce znaleźli się w jeszcze trudniejszym położeniu. W rękach młodzieży były podręcz-

niki historii, w których Stalin był poza wszelką krytykę, świetlaną postacią, wodzem proletariatu światowego, dobroczyncą ludzkości, „słoneczkiem”, a tu nagle Chruszczow mówi, że satrapa, krwio pijca, jakiego dotąd świat nie widział, morderca nałogowy... Jak z tego wybrnąć, co mówić dzieciom, jak zachować twarz? Nie było to łatwe. Związek Nauczycielstwa, zasypywany pyłaniami nauczycielskimi na ten temat, naciskał gorąco „górze” o nowe instrukcje i — jak wynikało z „Głosu Nauczycielskiego” z roku ubiegłego — „górze”, tj. Ministerstwo Oświaty, sugerowało tylko jedno wyjście: odpowiednie kartki w podręcznikach wyrwać, albo mocno zakleić... Wywołało to w szkołach jeszcze większą wesołość wśród młodzieży i jeszcze większą pogardę dla tego rodzaju nauczania.

Nieuniknione zmiany. W tej sytuacji zarówno Związek Nauczycielstwa Polskiego, jak i Ministerstwo Oświaty pod nowym kierownictwem, musiały przystąpić do podjęcia jak najszybszej i radykalnej reformy nauczania historii. Rzecz oczywista, że nie jest to rzecz łatwa. Nowy rok już się zaczyna, a szkoły rozporządzają w dalszym ciągu tylko skompromitowanymi w oczach uczniów podręcznikami. Za dużo w nich kłamstwa, by uciec się do wypróbowanego systemu zaklejanek czy wrywania kartek, a zresztą zakleić się kłamstwem, pozostanie i tak nienawistnie. Więc nie ma innej rady tylko trzeba dać prawdziwym historykom pisać na nowo podręczniki. To tak prędko nie pójdzie, trudności jest niemało. Ma to może ten dobry skutek, że do reformy przystąpiono w sposób energiczny, nawet z pewnym podobno zapalem. To i tamto zostało już jakoby zrobione, zmiany będą wprowadzane stopniowo, ostateczny termin ich realizacji wyznaczono na rok 1960.

„Z nieba zstąpienie”. Pod takim tytułem omówił zagadnienie w „Przeglądzie Kulturalnym” z 29 maja br. znany pisarz Paweł Jasienica. Artykuł zawiera pocieszającą wiadomość (zacierpniętą z Ministerstwa Oświaty), że nowy program nauczania historii polskiej wejdzie w życie już od 1 września br. Szczególny nacisk położono w nim na naukę historii w klasie IV, tj. — jak mówi Jasienica — w klasie, w której dziecko po raz pierwszy zaczyna się uczyć o przeszłości swojej ojczyzny.

Jasienica zwraca następnie uwagę na nonsensy „wzniesłego” programu z roku 1951, na zasadzie którego nauczyciel miał obowiązek doprowadzić ucznia „do zrozumienia praw rządzących rozwojem dziejowym; do dokładnego poznania dziejów Polski...”, zaznajomienia go „z walką klasową mas lu-



dowych świata, a zwłaszcza Rosji carskiej, z Wielką Rewolucją socjalistyczną oraz budownictwem socjalizmu w ZSRR; w klasach wyższych — z procesem pracy badawczo-naukowej i źródłami historycznymi".

Według Jasienicy, młody człowiek, który ukończył jedenastolatkę — powinien zgodnie z tymi wymaganiami stać intelektualnie wyżej od profesora uniwersytetu.

Jasienica nadmienia, iż program zatwierdzony przez ministra oświaty w czerwcu 1956 roku określa zadanie nauki historii w klasie IV w tych słowach:

„Zadaniem nauczania historii w klasie IV jest zaznajomienie uczniów z wybranymi faktami z dziejów ojczyzny i uczuciowe związanie dziecka z ojczyzną, z postępowymi i rewolucyjnymi tradycjami narodu polskiego, z jego dorobkiem kulturalnym.”

Autor przypomina dalej jak to program na rok 1951 (który obowiązywał do ubiegłego roku szkolnego) przewidywał w klasie IV takie tytuły, jak: „Życie dawnych Słowian aż do walki obozu socjalistycznego, obozu pokoju i demokracji z imperializmem”. Zawierał on m. in. takie pytania: a) kto wówczas w Polsce pracował? b) Jak pracowali wtedy ludzie w Polsce (technika produkcji i społeczne stosunki produkcji), c) kto i jak z tej pracy korzystał (istota i formy wyższego itd.).

Jasienica dochodzi do wniosku, że jedynym realnym skutkiem tak pomyślanego „nauczania” mogło być tylko uczucie odrzy z względem historii w ogóle, a polskiej w szczególności.

Autor kończy swoje uwagi w tych słowach: „Stoimy na stanowisku nauczania realnego, zerwania z fikcją optymistyczną, tolerowaniem złudzeń oraz fałszów merytorycznych i dydaktycznych. Nauczyciele, zgodnie ze wskazówkami wydanymi przez Ministerstwo Oświaty, winni przejść do nauczania faktycznych, podstawowych wiadomości historii narodowej i pewnych faktów, z historii powszechnej, związanych z historią Polski, a nie podtrzymywać w umysłach dzieci urojeń.”

Szczegóły nowego programu. Opublikował go „Głos Nauczycielski” z dnia 7 lipca br. Dowiadujemy się tam od Konstantego Lecha, dyrektora departamentu programowego, że dla klasy XI zostaną wydane nowe materiały pomocnicze do nauki o Polsce współczesnej i to zarówno dla nauczycieli jak i dla uczniów. Dawny podręcznik został zupełnie wycofany.

Tu pragniemy przypomnieć, że podręcznik nauki o Polsce współczesnej, wydany w roku 1951, nie różnił się w niczym od historii polskiej Schoenbrennerowej. Został on później wycofany i zastąpiony podobnym co do treści podręcznikiem pt. „Nauka o konstytucji”. Z tej to książki kandydaci do wyższych uczelni zdawali egzamin wstępny.

Lech wyjaśnia, że krótki czas nie pozwolił dokonać wymaganych dużych zmian w programach. Najważniejszą wytyczną musi pozostać tu zdrowy rozsądek nauczyciela. Zmiany wprowadzono na razie i przede wszystkim tam, gdzie dotychczasowego stanu tolerować nie było można już dłużej.

Autor poruszył również nowy program nauczania literatury, według którego — jak twierdzi — może wreszcie uda się uczniom zaznajomić z bogactwem naszej literatury.

Usunięto — według Lecha — z lektury podstawowej wszystkie prawie fragmenty z literatury obcej. Wprowadzono interpretację utworu literackiego.

Powracając do nauki historii Lech stwierdza,

że dotychczasowy poziom nauczania tego przedmiotu jest bardzo słaby. Historia Polski przedstawiana była jednostronnie, podkreślano w niej tylko ciemne, negatywne strony przeszłości. Nauczanie budziło sprzeciw i opory i nie spełniało swych funkcji wychowawczych.

Nowy program w klasie IV będzie miał za zadanie przedstawienie rzeczywistych obrazów z naszej przeszłości; historia ma być ujęta konkretnie, osnuta wokół ważnych wydarzeń i ich postaci historycznych. Ten obrazowy kurs kończy się na roku 1918 i wiąże się ściśle z nauką języka polskiego. Na podstawie odpowiednio dobranych czytane uwzględnione będą wydarzenia późniejsze aż do czasów obecnych.

W klasie V - VII kurs historii obejmie z czasów średniowiecza i nowożytnych tylko te zagadnienia, które ściśle wiążą się z historią Polski.

Lech potwierdził raz jeszcze, że dalsze gruntowne przerobienie programów jest w toku opracowania. Prace te rozłożono do roku 1960, kiedy szkoły będą w posiadaniu nowych podręczników dla każdego przedmiotu nauczania.

A. B.

## OD ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ DO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY SOCJALISTYCZNEJ

W grudniu 1954 roku miał się odbyć drugi z rzędu zjazd Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Zjazd miał być przeglądem „wspaniałego” dorobku Związku osiągniętego od pierwszego zjazdu w roku 1948, miał wykazać jego siłę liczebną i wielkie perspektywy na przyszłość.

Jednak już od dłuższego czasu nie było tajemnicą, że sytuacja wewnątrz Związku była krańcowo różna od tej, jaką przedstawiano w organie ZMP — „Sztandarze Młodych”. Wtajemniczeni mówili, że porządna młodzież już dawno opuściła organizację, a to co tam jeszcze pozostało składało się już tylko z karierowiczów, chuliganów i płatnych funkcjonariuszy fabrykujących owe „wspaniałe” rezultaty.

Toteż artykuł Morawskiego, głównego ideologa Związku, ogłoszony w grudniu 1954 roku w „Trybunie Ludu” pt. „Wszyscy odpowiadamy za młodzież”, był tylko potwierdzeniem rzeczywistego stanu rzeczy. Morawski stwierdził, że Związek przeżywa ciężki kryzys i że nie tylko samo ZMP ponosi za to odpowiedzialność. Winne są w równej mierze związki zawodowe, które zaniechały pracy wychowawczej, wskutek czego Związek utracił kandydatów na czołowych przywódców pracy. Zamiast wycieczek, wystaw i zdrowych dyskusji, przywódcy związków odgrywali rolę mentorów i moralizatorów. Związek przekształcono na zwyczajne klasy szkolne, w których członkowie — jak dzieci mieli słuchać ZMP-owskich wychowawców. Za godnych członków Związku uważano tylko tych, którzy wykazali największą produktywność w pracy zawodowej. Stan dzisiejszy — wołał Morawski — jest rezultatem tego fałszywego kryterium.

Przebieg II zjazdu. Zjazd odroczone może w nadziei, że sytuacja się poprawi. Odbył się dopiero między 28 stycznia a 1 lutego 1955 roku. Przemawiał na nim Bierut, który wbrew temu, o czym dopiero przed dwoma miesiącami pisał Morawski, przypomniał 1.200 zebranych delegatom o wielkich jakoby osiągnięciach Związku i mówił o wspaniałych podstawach na przyszłość.

Przemówienie programowe wygłosiła Helena Jaworska, rzekomo przewodnicząca zarządu głównego. Przedstawiła ona potężną siłę Związku, który — według niej — liczył okragło 2 miliony członków. Ubolewała jednak, że młodzież robotnicza stanowi w tej liczbie tylko 50%, zaś z tych 50% na młodzież górniczą przypada tylko 27% a na młodzież chłopską zaledwie 14%.

Uczestnicy zjazdu, którzy — czemuż by nie? — skorzystali z całego tygodnia wolnego od pracy, z bezpłatnego przyjazdu do Warszawy i wolnego utrzymania, uchwalili jednomyślnie na zakończenie zjazdu — nowy statut, który zaczynał się od słów: „Razem młodzi przyjaciele! W szczęściu wszystkich są wszystkich cele”.

Przyjaciele nie poszli jednak razem. Owszem, sam Związek Młodzieży Polskiej, a właściwie jego zarząd główny i funkcjonariusze płatni pomaszrowali dalej utartą drogą pod przewodem partii, ale nie maszerowała już z nimi młodzież.

W dniu 23 sierpnia 1956 roku pisali „Sztandar Młodych”: „Błędy i wypaczenia podważyły wiarę młodzieży w socjalizm. W ostatnich latach ZMP utracił rolę organizacji kierującej młodzieżą. Zaufanie do Związku zostało poważnie podważone.”

I tego nie dało się już ukryć. W dniu 1 grudnia 1956 „Trybuna Ludu” doniosła, że ZMP przestał istnieć. Pismo stwierdziło przy tym, że ZMP był wcieleniem stalinowskich koncepcji, że starał się tłumić zdrowe aspiracje młodzieży, że ZMP usiłował wychować członków na bezmyślnych robotów. Toteż w rezultacie nastąpił wewnętrzny rozkład i upadek, co naprawić może tylko gruntowna destalinizacja i demokratyzacja ruchu młodzieżowego.

W styczniu 1957 ZMP ostatecznie się rozleciał.

W tym samym miesiącu na gruzach ZMP powstał Związek Młodzieży Rewolucyjnej, a obok niego Związek Młodzieży Robotniczej. Również zdążył się zorganizować Związek Młodzieży Demokratycznej, który jednak — na krótko przed wyborami do Sejmu (20 stycznia) z polecenia Centralnego Komitetu PZPR, zlikwidowano. Dwie poprzednio wymienione organizacje młodzieżowe złączyły się razem w jeden związek, który przyjął nazwę „Związku Młodzieży Socjalistycznej” (ZMS). Prezesem Związku został Lenart.

Nowy Związek postanowił zwołać w jak najkrótszym czasie zjazd ogólnopolski, tzw. konstytucyjny, na którym organizatorzy zamierzali przedstawić do uchwalenia nowy statut, rezolucje oraz założenia ideowe.

Jednak na miesiąc przed zjazdem, bo w dniu 27 marca, „Życie Warszawy” przyniosło artykuł, w którym stwierdzono, że nowy Związek Młodzieży Socjalistycznej jest niepopularny. Związek — czytamy tam — nie zdobył sobie zaufania ani starszego pokolenia, ani młodej generacji. Liczba członków zamiast wzrastać — maleje. Nie mogło być inaczej, gdyż po początkowych planach wytyczenia samostrojnej drogi — Związek przyjął linię skompromitowanego ZMP.

W dniach 25-27 kwietnia br. odbył się wreszcie odraczany kilkakrotnie zjazd Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zjazd podał do wiadomości nie tylko to, że ZMS jest czołową organizacją młodzieży polskiej, ale że jest także szczyrem sojusznikiem partii oraz szkołą przyszłych jej przywódców. Rdzeniem organizacji ma być młodzież robotnicza, lecz organizacja winna zdobyć do swych szeregów całą młodzież w Kraju. Zadaniem Związku będzie dążenie do osiągnięcia najpiękniejszych ideałów ludzkości, jakie zawiera w sobie socjalizm. Związek oprze swoją dzia-

łalność na nauce Marksą i Lenina, a pracę prowadzić będzie pod ideologicznym kierownictwem partii, w walce przeciw siłom kapitalizmu, zacofaniu politycznemu i ideologicznemu.

W deklaracji uchwalonej na końcu zjazdu stwierdzono, że młoda generacja polska przyjmując ideologię socjalistyczną, oprze swoją pracę na tradycjach młodzieży komunistycznej i radykalno - socjalistycznej oraz na osiągnięciach Związku Młodzieży Polskiej. To nie mogło zachęcić młodzieży do nowej organizacji i nie ratowały sytuacji dalsze frazesy, iż uważa ona siebie za organizację klasowo-proletariacką i postanawia zdobyć do swych szeregów wszystkich młodych, dla których budowa socjalizmu w Polsce i usunięcie wyzysku człowieka przez człowieka jest sprawą sumienia.

Zjazd wybrał nowy zarząd. Sekretarzem centralnego komitetu ZMS został Marian Renke. Zaś na jednego z głównych sekretarzy wybrano dawniejszą redaktorkę „Sztandaru Młodych”, Felicję Rapaport.

Głos na Felicję Rapaport. W numerze lipcowym „Nowych Drog” p. Felicja Rapaport ogłosiła artykuł zatytułowany: „Kilka uwag o ZMS”. Zawiera on nie tylko kilka uwag, ale bardzo wiele szczegółów rzucających światło na sytuację panującą w nowej organizacji młodzieżowej. Czytamy w nim między innymi:

„W czasie dyskusji postanowiono mi pytanie — kiedy wreszcie będzie porządek w ruchu młodzieżowym?” Po czym p. Rapaport przypomina, że na młodzieżowej arenie pojawili się również ludzie oferujący otrzepanie z lekka z kurzu historii poglądów chadeczek, antysocjalistycznych — fe rozpoczęła się krzątanina wokół powołania do życia Związku Młodych Demokratów — że istnieją siły, które zmiany w Kraju traktują jako odkroczenie do drugiego etapu tj. żądania tzw. demokracji integralnej — innymi słowy — siły rezygnujące z dyktatury proletariatu.

ZMS nie jest zrzeszeniem ukształtowanym już ideologicznie ludzi: jest organizacją ludzi, którzy pragną stać się socjalistami — komunistami... Organizacja rośnie powoli — zaś w wielu ważnych ośrodkach, zarówno w zakładach pracy jak i na uczelniach — niestety — w ogóle jeszcze nie istnieje.

P. Rapaport kończy swój artykuł przyznaniem, że „istniejąca w partii niepokój o ZMS jest zrozumiały, a wynika to z obecności, wysoce niezadowolającego stanu organizacji”.

Dotychczasowe rezultaty działalności ZMS. Jedynym widocznym rezultatem działalności nowej organizacji młodzieżowej była wycieczka prezesa Renke oraz kilku członków zarządu do Związku i Chin. W obu państwach zdołali oni uzgodnić poglądy i zaprosić komunistów z Rosji i Chin do Polski. Pierwsi przyjadą do Polski w grudniu, drudzy na wiosnę przyszłego roku. Do tego czasu komitet centralny będzie miał wiele kłopotów, by zwiększyć w jakiś sposób siłę liczebną Związku, która w chwili obecnej wynosi zaledwie 50 tysięcy członków. Będzie musiał zawięzić gości do Nowej Huty, która — według oświadczenia Heleny Jaworskiej — stanowiła zawsze bastion ZMP.

Jak ten bastion wygląda dzisiaj, o tym pisze w „Nowej Kulturze” z 21 lipca br. p. Barbara Seidler w tych słowach: „W roku 1955 pracowało w Nowej Hucie 17.000 młodzi. Związek Młodzieży Polskiej liczył tam wówczas 9.000 członków. Dziś Związek Młodzieży Socjalistycznej w Nowej Hucie posiada zaledwie 1.000 członków. Do organizacji nikt się nie garnie — jest martwa — nie wyczuwa się jej w życiu miasta.” A. Z.

## ROZPAD W LIDZE KOBIEC

W czasie od 12-14 lipca br. odbył się w Warszawie II z rzędu Zjazd Ligi Kobiet; poprzedni odbył się między 3-4 marca 1951 r. Trudno odgadnąć, dlaczego Zarząd Główny zbiekał aż 8 miesięcy od tzw. polskiego października, by dopiero teraz wypowiedzieć swoją solidarność z programem Gomułki. Są w Warszawie ludzie, którzy twierdzą, że zarząd zajął na politykę wyczekiwania. Ale w takim razie zjazd mógł odbyć się bezpośrednio po styczniowych wyborach, kiedy pozycja Gomułki uległa znacznemu wzmocnieniu. Za odroczeniem aż do lipca musiały przeto przemawiać inne powody, które częściowo wyjaśniły się w czasie zjazdu.

Zjazdowi przewodniczyła Alicja Musiałowa, ta sama, która już przewodniczyła na I Zjeździe. Przemówienia powitalne wygłosili wicepremier Jaroszewicz imieniem rządu i P.Z.P.R., Drzewiecki imieniem Z.S.L. oraz Jodłowski imieniem Stronnictwa Demokratycznego. Według „Trybuny Ludu” w zjeździe uczestniczyło ponad 600 delegatów.

Jak powitała Zjazd prasa? W przededniu zjazdu tj. w dniu 11 lipca zjazdem zajął się w artykule wstępnym „Głos Pracy”. Czytamy w nim m.in.:

„Gdy powstawała organizacja kobieca, wiele kobiet widziało w niej swego przyszłego doradcę i obrońcę. Jednakże realizując ówczesną koncepcję. Liga Kobiet prowadziła przede wszystkim pracę agitacyjno-propagandową, kładąc nacisk na polityczne przygotowanie kobiet do budowy ustroju socjalistycznego... Ale jak to chłonąć mądre słowa referatów na temat budowy socjalizmu, gdy w tym samym czasie dzieci bawią się na ulicy bez opieki? Jak chłonąć słowa o równych prawach kobiet do pracy, gdy po tej pracy zwała się na barki kobiet cała domowa robota? Jak uczyć się polityki, gdy myśli krążyły wokół niewypranej bielizny, nieopracowanego mieszkania lub trudności przy zakupie mięsa i masła?... Zamiast czczych słów trzeba było przygotować kobiety do życia — zamiast jałowych doskusji ułatwiać im życie”.

A co powiedziała Musiałowa delegatom? Z długiego — jak zwykle — i wypełnionego mnóstwem frazesów przemówienia dowiadujemy się wiele szczegółów o działaniu Ligi w minionym okresie, bowiem zaraz na wstępie obywatelka przeskakała, że poza osiągnięciami (których nie wymienia) — wiele popełniono błędów i wynikające z nich skutki widać dziś w życiu. W wyniku tych podstawowych błędów, polegających na oderwaniu się od codziennych potrzeb, organizacja traciła „częściowo” wśród zrzeszonych kobiet swój wpływ, wskutek czego nie rosły jej szeregi organizacyjne. Za to wszystko — stwierdziła Musiałowa — ponosi odpowiedzialność przede wszystkim zarząd główny oraz prezydium zarządu głównego tj. najwyższe organy organizacji, którym przewodniczyła właśnie ona sama.

Musiałowa przyznała dalej, że sytuacja w organizacji jest nadal bardzo trudna. Rozpadła się wiele kół, a część zarządów przestała w praktyce kierować swym terytorium. Trzeba będzie — stwierdziła — zmusić do zmuszenia do pracy, aby odbudować i umocnić organizację. Naprawienie tego, co się rozpadło, widzi Musiałowa w organizowaniu na szeroką skalę kół gospodyń wiejskich, w zakładach pracy zaś kół Ligi Kobiet, którym winny pomagać związki zawodowe i rady zakładowe. W tej nieprzejrzymiej sytuacji, w jakiej wypadło jej przemawiać, przeskakała zapomniała zupełnie o radach ro-

botniczych, które powinna była wymienić na pierwszym miejscu.

Postulaty zjazdu obracały się wokół zagadnień wspomnianych już wyżej. Liga Kobiet zamierza zająć się również sprawą zatrudnienia kobiet, wśród których jest coraz to więcej bezrobotnych, zamierza stworzyć zespoły usługowe, których Musiałowa bliżej nie wyjaśniła, oraz zrehabilitować tzw. kobietę niepracującą, którą od tego czasu, dlatego że nie poszła do pracy w przemyśle lub P.G.R.-ach, a zajmowała się tylko domem i rodziną, uważano za pozbawioną patriotyzmu. Liga zamierza podnieść rangę społeczną kobiety-zony i kobiety-matki jako posiadającą równą wartość co kobieta pracująca w zakładach gospodarki narodowej.

Pomagać tu będzie świeżo stworzony Komitet Gospodarstwa Domowego, który to zagadnienie opracuje w sposób „naukowy”.

A jak to było na I Zjeździe? W przemówieniu do delegatów Musiałowa nie nawiązała wcale do przebiegu I Zjazdu z r. 1951 ani do własnego przemówienia, wygłoszonego na tym zjeździe. Warto przeto pokrótce przypomnieć, jak to było przed 6 laty.

Przemówienie programowe wygłosiła ta sama Alicja Musiałowa, w którym stwierdziła, że zjazd odbywa się pod hasłem realizowania planu sześćdziesięcioletniego, który zlikwiduje ostatecznie wyzysk człowieka i otworzy drogę do wielkiej prosperity. Stwierdziła, że Polska Ludowa stworzyła wspaniałe warunki dla kobiet, polegające na pełnej emancypacji i pełnym równouprawnieniu kobiet. Plan sześćdziesięcioletni przewiduje dla kobiet dalsze wspaniałe możliwości, zarówno w miastach jak i na wsi. Liczba kobiet zatrudnionych wzrasta, nabywają one różne kwalifikacje, jakie dotychczas były tylko monopolem mężczyzn, otrzymują równą z mężczyznami płacę i stają się gospodarzami niezależnymi. Budowa obrzytmiej sieci żłobków i ochronki uwolniła wreszcie kobiety od „harówki” domowej. Plan sześćdziesięcioletni dla kobiecie wiejskiej niespotykaną dotychczas okazję do rozwinięcia jej talentu i twórczości; mechanizacja rolnictwa, elektryfikacja wsi, rozwój kolchozów, wzrost szkół oraz przychodni lekarskich, wyższe zarobki i niższe ceny stworzą dla kobiety nowe warunki, o których dawniej nie była w stanie marzyć. Zacieśni się więź rodziny, a dzieci czeka wspaniała przyszłość.

Konkluzje. Zjazd Ligi Kobiet ujawnił w całej pełni niepowodzenie kierowanej przez partię organizacji kobiecej. Porównując entuzjazm, hasła i nonsens wypowiedziane w r. 1951 można dostrzec, że organizacja przeżyła to samo co Z.M.P. Na szczególną uwagę zasługują następujące różnice:

W roku 1951 ludność Polski liczyła około 2½ miliona mniej niż obecnie. Na Zjazd przybyło wtedy 1.000 delegatów — w roku 1957 tylko 600. Nie było na ostatnim zjeździe delegatów bratnich organizacji z państw obrony pokoju. Jedyny telegram wysłany przez zjazd poszedł do Gomułki; kobiety polskie zapewniali go, że będą pracować nad realizowaniem programu uchwalonego na VIII i IX Plenum.

Za to z przemówień zarówno Musiałowej jak i delegatów przebiegała troska o los kobiet polskich, które po „wspaniałym” zakończeniu planu sześćdziesięcioletniego zwalnia się masami z pracy. Zarząd Główny był zmuszony przyznać, że organizacja się rozpada, zwłaszcza na wsi, gdzie sytuację mają obecnie ratować koła gospodyń wiejskich.

Z przebiegu zjazdu można przeto wyciągnąć ostateczną konkluzję, mianowicie, że podobnie jak Z.M.P. przed styczniem br., tak i Liga Kobiet istnieje już tylko na papierze.

A.Z.



## ZYCIE KATOLICKIE

### MIĘDZYNARODOWY KONGRES MŁODZIEŻY ROBOTNICZEJ

W wieku XX współzycie między narodami wyraża się coraz częściej w międzynarodowych kongresach i zjazdach ludzi nauki i sztuki. Kościół katolicki czyni to samo. Organizuje w skali międzynarodowej i narodowej Kongresy Eucharystyczne i Maryjne, zjazdy katolickich organizacji i stowarzyszeń, jako też z różnych dziedzin życia wewnętrznego i nauki katolickiej. Ostatnio odbył się w Rzymie w dniach od 24 sierpnia do 4 września międzynarodowy Kongres-Pielgrzymka katolickiej młodzieży robotniczej, zorganizowanej w Jeunesse Ouvrière Chrétienne, J.O.C., stąd krótko jokistami zwanej. Organizacja ta powstała w Belgii w roku 1925, we Francji w 1927, w krajach anglosaskich w 1938. Założycielem jest żyjący dotąd ks. Józef Cardijn (czyt. Kardain). W roku 1945 powstało w Brukseli Międzynarodowe Biuro i Międzynarodowy Sekretariat J. O. C. Zadaniem organizacji jest przygotowanie młodzieży robotniczej, od lat 14 względnie od chwili opuszczenia ławy szkolnej, do zrozumienia odpowiedzialności za życie w rodzinie, w pracy i w społeczeństwie.

Kongres - Pielgrzymkę J. O. C. poprzedził apel kardynała Clemente Micara, wikariusza generalnego Jego Świątobliwości na miasto Rzym i jego okolicę, do mieszkańców Wiecznego Miasta. Kardynał pisał m. in.: „Są oni wyrazem młodzieńczej pracy, której sła- chectwo nadał i którą uświęcił Boski Robotnik. Wybrali jako swój wzór Jezusa Chrystusa pracującego w bardzo skromnym warsztacie Józefa i dlatego reprezentują nadzieję na przyszłość Kościoła i ich ojczyzn.” Wspomniawszy o szczęściu rzymian mieszkania tak blisko Najwyższego Kapłana, zaznaczył kardynał, że dla bardzo wielu z przybywającej młodzieży podróż do Rzymu jest połączo- ną z wielu ofiarami i wyrzeczeniami, „lecz do czegoż nie jest zdolna miłość do Chrystusa i do Papieża? Dlatego ich przyjazd jest dla wszystkich powodem radości, podziwu, brania przykładu.” Wezwawszy mieszkań- ców Rzymu do takiego przyjęcia przybywają- cych, by czuli się jak we własnym domu, jak wśród braci, kardynał całym sercem witał w imieniu rzymian i swoim przybywających, życząc im, by ich pobyt w Wiecznym Mieście był pełen świętych przeżyć.

Zgodnie z założeniem, że jest to Kongres- Pielgrzymka, przybywające grupy młodzieży jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnego zjazdu nawiedzały pobożnie bazyliki rzymskie i katakumby. Szczególnie zainteresowanie bu- dziło wszystko, co w Rzymie odnosi się do pierwszych wieków chrześcijaństwa. Jest to jeden więcej z objawów coraz żywszego w ostatnich czasach zainteresowania pierwszymi wiekami chrześcijaństwa, wiekami żywej wiary i apostołstwa świeckich, co obrazują m. in. Dzieje Apostolskie i Listy św. Pawła.

Obrazy kongresowe miały na celu pogłę- bienie wśród obecnych ideologii ruchu i świa- domości braterskiego i siostrzanego wysiłku młodzieży robotniczej wszystkich kontynen- tów i ras nad uczynieniem na nowo chrześci- janami robotników i robotnic niewierzących, zachwianych w wierze, zniechęconych.

Oprócz pielgrzymowania do bazylik i ka- takumb i brania udziału w obradach odby- wały się wspólne nabożeństwa i masowe ze- brania.

W piątek 23 sierpnia w termach Karakalli „wieczór przyjęcia” urządziła Włoska Akcja Katolicka. Manifestację rozpoczęła utworami muzycznymi orkiestra Straży Skarbowej. Po przemówieniu wstępnym ilustrującym głębo- kie znaczenie manifestacji zabrał głos prof. Luigi Gadda, prezes Włoskiej Akcji Katolic- kiej. Podkreślił więzy łączące Włoską Akcję Katolicką z J. O. C. i Boski walor pracy. Zwrócił uwagę, że niedaleko miejsca mani- festacji, w bazylice św. Klemensa spoczywają śmiertelne szczątki św. Cyryla, który dał Ro- sji alfabet i kulturę chrześcijańską. „Gdzież jest młodzież tego kraju? Dlaczego nie ma jej wśród nas w te uroczyste dni młodzieży robotniczej całego świata? Nie pozwolimy się w błąd wprowadzić gwarem pewnych festi- walów, bo wiemy, że za nimi kryje się płacz tak wielu przesładowanych katolików. Niech z tego miejsca dojdzie do wszystkich kato- lików, którzy cierpią na tamtych ziemiach, nasze serdeczne pozdrowienie!” Nastąpiło wspólne odmówienie modlitwy ułożonej przez Papieża za Kościół Milczenia. Tekst modlit- wy w różnych językach rozdano uprzednio — i jak przed wiekami w Wieczerniku ze- brani mówili różnymi językami o wielkich sprawach Bożych, tak obecnie za Kościół Milczenia płynęła w wielu językach modlit- wa chrześcijańskiej młodzieży robotniczej.

Z kolei przemawiali minister pracy Gui imieniem rządu i narodu włoskiego, adwokat Ciocetti w zastępstwie nieobecnego burmi- strza Rzymu, mons. Józef Cardijn, założyciel i generalny asystent kościelny J.O.C. Nastą- piło widowisko-popis: tańce w strojach naro- dowych grup austriackiej, angielskiej, cej- lońskiej, filipińskiej, brazylijskiej, neapolitań- skiej, libańskiej, maltańskiej, senegalskiej i hiszpańskiej. Zakończyło manifestację wspól- ne wystąpienie na scenie wszystkich, którzy brali udział w popisie, a ich bratnie uściski symbolizowały jedność i przyjaźń, jakie łączy katolicką młodzież robotniczą całego świa- ta, bez różnicy rasy i kraju. Po raz drugi w różnych językach, tym razem śpiew między- narodowego hymnu J.O.C. rozbrzmiewał pod niebem Rzymu w ruinach term, które patrzy- ły na wiele doniosłych wypadków w ciągu wieków, a teraz słuchały śpiewających w różnych językach świata o wielkich sprawach Bożych.

Następnego dnia przygotowywano się do ważnych wydarzeń Pielgrzymki - Kongresu. Wieczorem o godz. 19.30 w czternastu ko- ściółkach odbyła się Godzina święta: modlono się za pracującą młodzież całego świata, za tych, co nie znają powołania Bożego i żyją z dala od Kościoła; błagano Boga o łaskę dla młodzieży pracującej, by rozumiała godn- dzieci Bożych i żyła według świętych praw Boskich. Po skończonych nabożeństwach ru- szyły ze wszystkich tych kościołów procesje z pochodniami do Colosseum na Drogę Krzy- żową celem uproszenia dla młodzieży wy- trwania w miłości Boga przez zasługi Męki Chrystusowej. Nabożeństwo zakończyło bło- gosławieństwo udzielone przez kardynała Ot- taviania częścią Drzewa świętego, przyniesio- ną z kościoła Santa Maria Nuova i odspie- wanie Credo.

Kulminacyjnym dniem uroczystości kon- gresowych była niedziela 25 sierpnia. Rano młodzież reprezentująca ponad milion zrzeszonych w ruchu J.O.C. zgromadziła się w bazylice św. Piotra na Watykanie na ponty- fikalną Mszę św., którą celebrował przed oł- tarzkiem papieskim kardynał dziekan Świę- tego Kolegium Eugeniusz Tisserant. Wymow- ne były teksty Mszy św. wotywny o Chry- stusie Królu: Panować będzie od morza do morza... Jego władza jest władzą wieczną i nie będzie Mu odjęta, a Królestwo Jego nig-

dy nie przeminie. Alleluja. „Pan błogosławić będzie lud Swój w pokoju.” I znamienna ora- cja: „Wszchemogący wieczny Boże, ...spraw łaskawie, aby wszystkie narody świata, wskutek spowodowanych grzechem ran roz- dzielone, poddały się pod przesłódkie pano- wanie” Króla wszechświata.

W godzinach popołudniowych jeden z naj- piękniejszych na świecie placów, Plac św. Piotra, zaczęły napelniać tłumy przyjezdnej młodzieży robotniczej, gromadząc się we- wnętrż kolumnady Berniniego, będącej sym- bolem ramion Chrystusa Pana wyciągnię- tych z miłością do wszystkich i ramion Jego Namiestnika gotowego przytulić nawet naj- większych wrogów Kościoła, gdy zechcą przyjść, a tym bardziej oddane mu dzieci Boże. O godzinie 16 Plac szumiał głosami wielojęzycznej młodzieży i barwił się różno- kolorowymi ubiorami. Rozpoczęło się przed- stawienie w trzech częściach w choreograficz- nym ujęciu tekstu opracowanego przez be- nedyktyna o. Pierre Simons, a obrazującego człowieka przed wprowadzeniem maszyn, zrewolucjonizowanie pracy przez maszyn, niebezpieczeństwo zmechanizowania życia i pozbawienia człowieka jego osobowości. Zja- wiający się na scenie przy dźwięku trąb he- roldowie społecznej nauki Kościoła ogłasza- ją: „Nie jest sprawiedliwe ani ludzkie wyma- ganie tak wielkiej pracy, by przez zbytni trud głupiał rozum, a ciało padało ze znu- żenia”. Drugim przedstawieniem było „Praw- dziwe braterstwo między ludźmi”.

O godzinie 17.25 ukazał się krótki orszak papieski, a na sedla gestatoria Ojciec św. Pius XII. Cały plac rozbrzmiał od okrzyków na cześć Ojca całego chrześcijaństwa: „Jest z nami; jest wśród nas!” I jak przed wieka- mi na cześć jego Mocodawcy: „Hosanna Pa- pieżowi Robotników!”

Papież przemawiał w języku francuskim, a przemówienie jego transmitowało Radio Wa- tykańskie i różne stacje europejskie. Przemówienie składało się ze wstępu, trzech części i zakończenia; trzy części to: „Jesteście młodzi”, „Jesteście robotnikami”, „Jesteście katolikami”. Katolicka młodzież robotnicza otoczona jest wielką ilością ludzi zapominających o swej godności ludzkiej i tracących ideały i wobec tego jej zadaniem jest oddziaływać na tych nieszczęśliwych przez swój przykład młodych ludzi zdrowych du- chowo, a więc ożywionych gorącym, właści- wym młodzieży optymizmem i odwagą wobec przyszłości, zwłaszcza że opiera się ona na łasce Bożej i na pomocy samego Boga. Ka- tolicka młodzież robotnicza — jako robotni- cy — musi przeciwstawiać się klęsce czasów dzisiejszych w świecie pracy, mianowicie truciznie doktryn materialistycznych, utracie pod wpływem trudnych warunków życiowych świeżości, radości życia i najbardziej upr- wionych aspiracji. Jako katolicy mają zada- nie rechrystianizacji świata robotniczego, po- dejmując to z miłością do dusz zbłąkanych, aż posłyszają ich hymn radosny: „Ukochani jokiści, przez was znaleźliśmy prawdziwe ży- cie i oddajemy chwałę Bogu Ojcu i Baran- kowi ofiarowanemu na ołtarzu”.

Wzmocnieni na duchu przez tę audiencję u Papieża i jego przemówienie, przez Komunię świętą, Msze święte i nabożeństwa, przez zetknięcie się z katolicką młodzieżą robotni- czą przeszło 80 krajów, tyłu ras i języków i odczucie w ten sposób swej siły organizacyj- nej i pogłębiwszy zrozumienie i ukochanie swoich ideałów w czasie pełnych siły przeko- nywującej przemówień w czasie obrad — młodzieńcy i dziewczęta ruchu J.O.C. wrócili do swych krajów na d a l s z ą p r a c ę !  
Dr W. J.

## ROZWÓJ BUDOWNICTWA SZKÓŁ W W. BRYTANII

Napisał W. ŁĘSKI

Temat raczej rozległy i w takim streszcze- niu nie da pełnego obrazu zagadnienia. Zaczęć od krótkiego zarysu historycznego. Zeby zdać sobie dokładnie sprawę, jak to naprawdę było z tym rozwojem szkolnictwa w Wielkiej Brytanii, warto przytoczyć co pi- sał o tym sir Joshua Fitch (1824-1903), wielki angielski teoretyk i praktyk w sprawach wychowawczych i szkolnych: „Osiągnięcia w systemie wychowawczym Anglii nie są wy- nikiem jakiejś teorii lub planu uprzednio przygotowanego przez mężów stanu lub fi- lozofów; kształtowały się długo poprzez do- świadczenia, kompromisy, tradycje, upadki i religijne polemiki... Dokonały się przy po- mocy — w większym lub mniejszym stopniu — filantropii, dzięki prywatnej inicjatywie, zawdzięczając gorliwości religijnej, przy po- mocy starych uniwersytetów i ambitnych założeń, dzięki wysiłkom miejskim i lokal- nym, a tylko w niewielkim stopniu dzięki rządowym ustawom.”

Jak wszędzie tak i w Anglii Kościół był — powiedzmy — kolebką edukacji. Wieki średnie, a więc rozwój zakonów, cechów, a z tym razem — fundacja szkół i uniwersyte- tów. Po Reformacji i adaptacji wszystkiego, również i szkół, do nowych warunków, Hen- ryk VIII wprowadził prawo, które zapoczą- kowało państwową ingerencję w kwestii wy- chowania. Prawem tym było, że dziecko w wieku od 5-13 lat zebrzące lub bez określo- nego zajęcia — zmuszone będzie do „kształce- nia fachowego”.

W XVII wieku, chociaż Kościół dźwierzł jeszcze ciągle w rękach nauczanie, dając się zauważyć w Anglii i Walii prywatna inicja- tywa zakładania szkół. Przy końcu tegoż wie- ku powstaje towarzystwo dr. Braya dające bezpłatne nauczanie i — darmowe ubrania. Jest to pierwsza inicjatywa na taką skalę, oparta całkowicie na wysiłkach prywatnych. W r. 1839 zostaje powołany pierwszy urząd państwowy kontrolujący system edukacyjny. Jak również popierający materialnie istnie- jące zawiązki.

Przy końcu XIX wieku wprowadzono akt dający powołanym władzom moc kontrolo- wania i zmuszania do kształcenia dzieci w wieku od 5-13 lat. W kilka lat później po- wstają szkoły średnie i techniczne.

Obecny system edukacyjny jest oparty na tzw. Belfour Act (1902). Aktem tym wszyst- kie dotychczasowe władze organizacyjne w tej dziedzinie zostają rozwiązane. Powołuje się tzw. Lokalne Władze Wychowawcze. Po- przez różne zmiany organizacyjne dochodzi- my do najważniejszego wydarzenia w roku

\*) „The public provision for the education of the people in England is not the product of any theory or plan formulated beforehand by statesmen or philosophers; it has come into existence through a long course of ex- periments, compromises, traditions, successes, failures, and religious controversies... It has been effected in different degrees by phi- lanthropy, by private enterprise, by religious zeal, by ancient universities and endowed foundations, by municipal and local effort, and only to a small extent by legislation.”

Najważniejsze prace sir J. Fitcha: „Edu- cational aims and methods” i „Lectures on teaching”.

1944, kiedy tzw. Board of Education staje się ministerstwem. Ministerstwo nawiązu- ją: do poprzednich aktów, stwarza program nauczania, w którym każde dziecko powin- no znaleźć dla siebie miejsce w zależności od wieku, zainteresowań i zdolności.

Zajmę się teraz budynkiem szkolnym. Kiedyś Kościół ustalał formę budynku. Su- rowość życia i otoczenia była pierwszym wymaganiem chwili. Mijają wieki i sytuacja się zmienia stopniowo. Budynek szkolny na- biera innych kształtów. A w roku 1870 Lon- dyńska Rada Szkolna ogłasza pierwszy kon- kurs na zaprojektowanie szkoły.

Muszę się teraz odwołać do wyobraźni czytelników. Pozwoli to nam na odtworze- nie faz rozwojowych planu budynku szkol- nego, a równocześnie zaznaczymy redakcji kłopotu — z drukiem planów i rysunków.

W roku 1842 szkoła to — jedna duża izba plus ogrodzone wysokim płotem podwórze. W roku 1863 szkoła składa się już z kilku sal. Powstaje korytarz. W korytarzu tym zbierają się dzieci przed wejściem do klas. W tym też korytarzu dzieci odmawiają po- ranną modlitwę. Korytarz jest jednak ciasny i ciemny.

W 1870 roku korytarz staje się dużą salą (Central Hall), a klasy umieszczone są po jednej stronie tej sali z bezpośrednim do niej dojściem. Na początku bieżącego stulecia plan budynku szkolnego wykształca się coraz bardziej. Sala centralna, ze względu na trud- ności wentylacyjne, wychodzi z centralnego położenia. Plan staje się otwarty. Buduje się coraz niższe szkoły. Dochodzi się do bu-

dyndu parterowego. Dużo przestrzeni, świa- tła i powietrza.

W ostatnich jednak latach szkołę się zno- wu spiętrza ze względów ekonomicznych, ale wkłada się wiele wysiłków, by warunki jak najbardziej odpowiadały wymaganiom.

Po wojnie, na budownictwo szkół położono wielki nacisk. Ulepsza się równocześnie ist- niejące szkoły techniczne, rozbudowuje się uniwersytety. Zajmę się tylko szkołami dla dzieci do lat 14.

Zagadnienie miejsca na szkołę w wielkich miastach jest obecnie rzeczą trudną i skom- plikowaną. Idzie się na różne kompromisy. Wiele szkół w Londynie wybudowanych w tym samym okresie co szkoły w New Harlow, Welwyn Garden City czy w Stevenage (nowe miasta) nie mają, rzecz jasna, tej przestrze- ni i warunków.

Kiedyś sprawa wyboru miejsca na szkołę nie odgrywała żadnej roli, o ile odpowiadała ówczesnym warunkom, tzn. jeśli miała za- pewnioną bliskość kościoła i ekonomiczne rozwiązanie. Ileż teraz różnych czynników wpływa na tę samą sprawę? Reguły, przepisy lokalne i ogólne, urbanistyka. Dla każdej dzielnicy miejskiej przeczyna się odpowied- nią ilość przedszkoli, szkół powszechnych i średnich. Odległość dzieląca dziecko od szko- ły powszechnej nie powinna być większa jak pół mili. W wypadku szkoły średniej odleg- łość tę zwiększa się do 1 mili.

Przedszkole dla 40 dzieci wymaga miejsca 1/4 akra. W planowaniu przedszkola archi- tekt będzie musiał zastosować odpowiednią skalę. Będzie to budynek dla dzieci do lat 5. Wnętrze i otwarta przestrzeń powinny two- rzyć całość. Jedno z drugim ma się zabrać. Dziecko musi się czuć swobodnie. Nie będzie barier, mnóstwa drzwi i długich korytarzy.

Szkoła powszechna — to miejsce nauki dla dzieci od lat 5 do 11. Dzieli się dla dzieci młodszych (infant) i starszych (junior), wy- maga osobnego traktowania budynku w jednym i drugim wypadku. Jako przykład



W nowoczesnym budynku szkolnym w Carr Mill, St. Helen's, Lancashire, jasne, duże klasy są dostosowane do pracy w małych grupach



szkoły powszechnej odpowiadający wszelkim tym wymaganiom, podam szkołę w Welwyn Garden City. (Herefordshire).

Szkoły średnie dla dzieci od 11 do 15 lat, a czasem i do 18. Temat skomplikowany. Może niejedni rodzice mieli już możność zerknięcia się z tymi nazwami: „modern”, „technical”, „grammar”. W każdym razie władze szkolne starają się dać dzieciom szkołę średnią, która da wykształcenie wszystkim dzieciom w wieku od 11 lat, z uwzględnieniem ich specjalnych zdolności i zainteresowań. Terminem angielskim określającym typ takiej szkoły jest Comprehensive School. Szkoły te są przewidziane na około 2 tysiące dzieci. Tylko wielka ilość dzieci może wykonać w pełni program wspomnianej szkoły. Tylko spośród wielkiej ilości dzieci można wybrać grupy odpowiednio liczebne o zainteresowaniach i zdolnościach równomiernych. Odpowiednio przygotowany program, pomoce naukowe, fachowi nauczyciele — dopełnią reszty. Dzieci będą „pchnięte” w odpowiednim kierunku.

W planowaniu — wielka różnorodność. Sale gimnastyczne (czasem basen pływacki), aule (dwie — większe i mniejsze) i klasy do nauczania formalnego. Dalej cały szereg laboratoriów (fizyka, chemia, botanika itd.), sztuka, warsztaty, gospodarstwo domowe (dziewczęta).

W Londynie kilkanaście takich szkół oddano do użytku w ostatnich latach. Niektóre z nich mają kryte baseny pływackie w połączeniu z salami gimnastycznymi.

Jeszcze kilka uwag na tematy ogólne, a związane z projektowaniem szkół. Kwesta światła. Oto wymagania:

- odpowiednie oświetlenie miejsca pracy;
- równomierne naświetlenie wnętrza;
- wyeliminowanie odbłasku i rążących kontrastów.

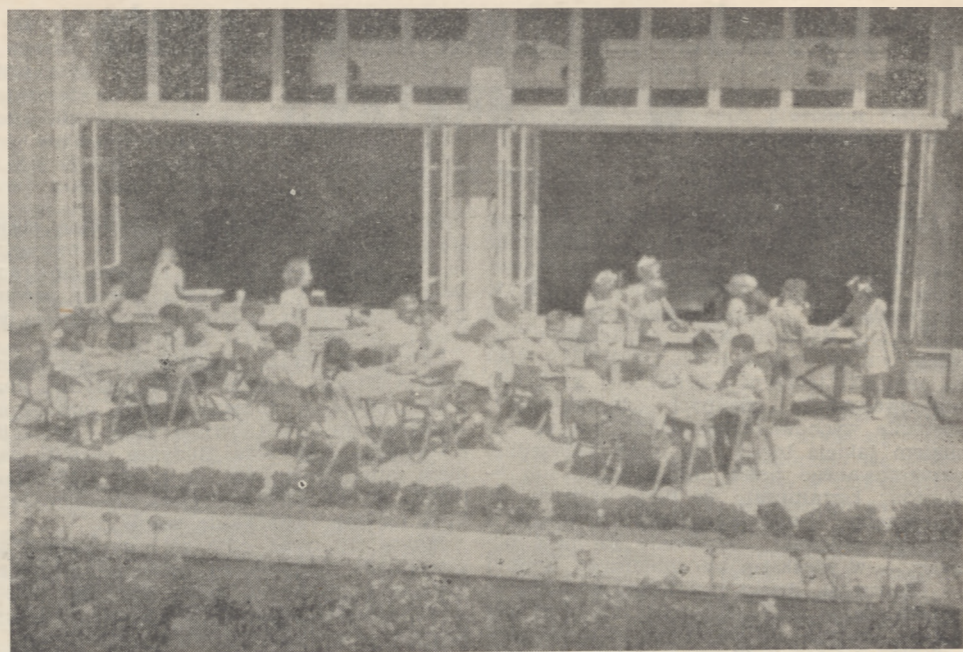
Następnym zagadnieniem będzie wentylacja i ogrzewanie. Wentylacja sztuczna i normalna. Zapewnienie dwukrotnej wymiany powietrza z sal na świeże powietrze z zewnątrz. Z wentylacją zajął się ogrzewanie, które będzie zależne od położenia szkoły, od konstrukcji, materiałów użytych i wreszcie od przyjętego systemu wentylacji.

## PRZED CZTEROZIEŚCIU LATY

Hamburska „Die Welt” przypomina, że w dniu 15 sierpnia br. minęło czterdzieści lat od chwili powstania Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, podczas gdy w roku ubiegłym minęło również czterdzieści lat od udzielenia, w dniu 5 listopada 1916, „oszukańczej” (jak się dziennek wyraża) niepodległości okupowanemu obszarowi „Polski rosyjskiej” przez mocarstwa centralne.

„Królestwo Polskie — czytamy w „Die Welt” — któremu w roku 1916 dali powstać Hohenzollernowie i Habsburgowie, i jedni i drudzy ogarnięci wola, by królestwu temu za żadną cenę nie odstąpić obszarów z przewagą ludności polskiej i pełni tajonej rywalizacji, który z nich wyznaczyć ma króla Polski, zostało wynalezione właściwie tylko po to, by można było stworzyć z pobranego w nim rekruta nową armię dla państw centralnych.

„Rada Regencyjna tego pozornego państwa („Schattenstaat”) składała się z przedstawicieli nadających ton warstwom polski: arcybiskupa warszawskiego, ks. Lubomirskiego i właściciela ziemskiego Józefa Ostrowskiego. Człowiek natomiast, który miał dowodzić spodziewaną armią polską, Józef Piłsudski, został na rozkaz niemieckiego generał-gubernatora Warszawy w lipcu 1917 aresztowany z powodu narodowej roboty podziemnej.



Szkoła dla najmłodszych dzieci (Moorlands, Infant School, Bath, Somerset) ma, zgodnie z wymaganiami nowoczesnego budownictwa szkolnego, idealne warunki do nauki na zewnątrz. Świeże powietrze, woda, kwiaty, zieleń — nie tylko uprzyjemniają, ale i usprawniają zajęcia szkolne.

nego. W przedszkolach kładzie się nacisk na ogrzewanie podłóg. W szkołach powszechnych i średnich stosuje się ogrzewanie centralne lub ogrzewanie nagrzanym powietrzem.

Sprawa akustyki i izolacji to następny problem. Hałas w auli, w korytarzu, w sali gimnastycznej, zmniejsza się przez akustyczne traktowanie sufitów i ścian, tj. przez wykładanie ich odpowiednim materiałem, który wchłania głos i tłumi go. Odgłosy nóg, trzaski — eliminuje się przez odpowiednią konstrukcję oraz stosowanie specjalnych pokryć podłóg (korek).

Dalszym problemem będzie kwestia za-

opatrzania szkoły w wodę, kanalizacja, kwestia bezpieczeństwa, wreszcie wykończenie wnętrza — kolor, umeblowanie, wyekwipowanie.

Nauczanie to nie tylko książka i związane z nią — „uczenie się”. Sam budynek szkolny jest jednym z tych czynników, które wpływają na rozwój umysłowy i fizyczny dziecka. Emocje lub uczucia dziecka można pobudzić lub zostawić w spokoju. Dziecko będzie radosne, chłonne, pełne inicjatywy lub ponure, znużone i pozbawione energii. Przestrzeń odpowiednio urządzone — kształt i kolor, cały budynek szkolny — to potencjalny instrument wychowawczy.

W. Łęski

**Powstanie Komitetu Narodowego w Paryżu.** W tych warunkach — wywodzi autor artykułu — doszło do ustanowienia Komitetu Narodowego Polskiego przez przedstawicieli młodej polskiej inteligencji i mieszczańskiego stanu średniego. „Jego inicjatorami byli sławny pianista i kompozytor Ignacy Paderewski oraz przywódca Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego Roman Dmowski, szermierz nacjonalizmu zorientowanego mocno biologicznie i fanatycznie (? — red. ZYCIA). O ile duchowieństwo(?), magnaci i ostro antyrosyjski już w wyniku swej działalności socjal-rewolucyjnej Piłsudski dążyli wówczas do rozszerzenia Polski na wschódzie, to Dmowski miał inne cele. I on także nie lubił Rosjan, ale pragnął trzymać się rzekomo „pra-polskiego” zasięgu w Prusach Wschodnich, na Śląsku i na Pomorzu Zachodnim, gdy zbliżył się godzina Białego Orła.” Ironiczne określenie „rzekomo” i cudzy-

## WIECZÓR AUTORSKI IŁAKOWICZÓWNY

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządza dnia 17 września (wtorek) o godz. 7.30 w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego Wieczór autorski Kazimierza Iłakowiczówny, która będzie mówiła na temat: „Jak się pisze wiersze?”. Przewodnicząc będzie Tymon Terlecki.

# NA MARGINESIE POCZĄTKÓW PAŃSTWA PIASTOWSKIEGO I DOKUMENTU „DAGOME IUDEX”

Napisał WŁADYSŁAW KUJAWSKI

Zródła pisane dotyczące okresu Mieszka I i Bolesława Chrobrego są skąpe, nie wystarczające dla odtworzenia w całości procesu rozwojowego państwa pierwszych Piastów. Pozwalają jedynie na najogólniejsze, pełne luk, niedomówień i wątpliwości naszkicowanie dziejów tego okresu. A poza tym pozostawiają szerokie pole dla domysłów. Dlatego też, w ubiegłym zwłaszcza stuleciu, mogły pojawiać się niekiedy wręcz fantastyczne hipotezy, jak np. nie licząca się z rzeczywistością historyczną tzw. teoria najazdu, rozwijana przez epigonów Lelewela, Szajnochę, Piękoskińskiego, wreszcie Krotoskiego. Dokończące się stale metody badania przeszłości umożliwiały coraz dokładniejsze oddzielenie zdrowego ziarna od plew. Szczególnie okres dwudziestolecia niepodległości był ogromnym krokiem naprzód. W pełni doceniono wówczas wartość materiałów i informacji dostarczanych przez pokrewne historii dyscypliny, zwłaszcza archeologię prehistoryczną, etnografię, antropologię itd. Poszerzyła się w ten sposób podstawa źródłowa dla wczesnopiastowskiego okresu.

Nade wszystko wykopaliska coraz obficie dostarczały nowych danych dla X stulecia, niejednokrotnie umożliwiając kontrolę nie liczących źródeł pisanych. Rezultaty tego postępu ujawniają się nadal po drugiej wojnie światowej, mimo doktrynerskich zniekształceń marksizmu. Prowadzi się w Kraju poszukiwania archeologiczne na wielką skalę (pomyślane początkowo jako „millennijne”, następnie przedstawione formalnie na inny tor), kontynuuje się — praktycznie przygotowaną w okresie międzywojennym — reedycję najstarszych źródeł pisanych (Ibrahim-ibn-Jakub, Gall-Anonim, Thietmar), oraz studia nad rękopisami (Kronika Wielkopolska, Długosz). Prace postępują nadal i stale przynoszą nowe zdobycze. Podkreślić jednak trzeba, że już dotychczasowe wyniki pogłębiają i poszerzają znacznie naszą wiedzę o okresie wczesnopiastowskim, potwierdzając — co najciekawsze — w niejednym punkcie najstarszą tradycję kronikarską.

Ta właśnie tradycja zawsze umiejscawiała zalążek państwa polskiego w dzisiejszej Wielkopolsce i na Kujawach. Zapisuje to już pierwszy kronikarz Gall-Anonim („Erat namque in civitate Gneznensis, que nunc interpretatur slauonice, dux nomine Popel...”), a w ślad za nim i inni wyprowadzają dynastię piastowską z Wielkopolski. Pełna zaś interesująca informacja Kronika Wielkopolska z XIII - XIV w. wymienia Kruszwicę jako pierwotną siedzibę Popielidów i Piastowiczów. Opinia o centralnej roli Wielkopolski i Kujaw w kształtowaniu się państwa polskiego zawsze trwała niewzruszona w historiografii polskiej, a prowadzone w ostatnim ćwierćwieczu prace wykopaliskowe i studia nad grodziskami potwierdziły ją w całej rozciągłości (por. W. Kowalenko, Grody i osadnictwo grodowe Wielkopolski wczesnohistorycznej od VII do XII w. — Poznań 1938; J. Kostrzewski, Grody staropolskie w świetle wyników ostatnich badań wykopaliskowych. — Kraków 1939; W. Hensel. Studia i materiały do osadnictwa Wielkopolski wczesnohistorycznej, Poznań, t. I — 1950, t. II — 1953; żeby wymienić tylko niektóre pozycje ogarniające większe całości).

Z całą słusnością mógł więc pisać niedawno zmarły Z. Wojciechowski: „Wielkopolska i Kujawy kolebką państwa” (Przegląd Zachodni, 1953, IX, 9/10, 1-30). Tu miała istotnie początek Polska po dziś trwająca.

Rezultaty dotychczasowych badań nie dają jeszcze odpowiedzi na szereg szczegółowych kwestii. Pozostaje np. nadal otwarty problem starszeństwa przodownictwa Gniezna czy Kruszwicy, jakkolwiek wykopaliska gnieźnieńskie doczekały się już kilku opracowań (poczynając choćby od J. Kostrzewskiego. Najstarsze Gniezno w świetle wykopalisk. — Przegląd Zachodni, 1947, III, 308 - 318, po pracę W. Dalbora. Wczesnośredniowieczny gród w Gnieźnie. — Światowit, 1955, 161-246). Za to coraz silniej zarysowuje się czolowa rola Poznania za czasów Mieszka I i w pierwszych latach Chrobrego (por. W. Hensel, Na śladach Mieszkowej stolicy. — Przegląd Zachodni, 1947, III, 121-122, oraz rozliczne sprawozdania tego uczonego w wymienionym czasopiśmie; Z. Kepiński, Grobowiec Mieszka I i najstarsze budowle poznańskiego grodu. — Przegląd Zach., 1952, VIII, 5/8; 370 - 397; J. Kostrzewski, Gród Mieszka I w Poznaniu. — Z Otchłani Wieków, 1948, X, 131-141 i szereg innych). W Poznaniu wznosi się potężnie obwarowany gród (wały z ławą kamienną) silniejszy od gnieźnieńskiego i innych: tutaj znajdują się fundamenty niedawno odkrytej najstarszej katedry z baptysterium (z czasów chrztu w 966 r.) i grobowcem Mieszka I. Poznań jest główną siedzibą księcia. Nie umniejsza to, oczywiście, w niczym znaczenia Gniezna jako grodu o starszej tradycji oraz jako siedziby metropolitalnej za Chrobrego.

Z Wielkopolski i Kujaw, jeszcze przed Mieszkiem I, zaczęło się „zbieranie ziem polskich” poczynając prawdopodobnie od terytorium łączącego sieradzkiego, Mazowsza i Pomorza Gdańskiego. Sporne jest dotychczas, czy Małopolska z Grodami Czerwieńskimi przypadła Piastom już w pierwszej połowie X wieku po upadku państwa wielkomorawskiego, czy dopiero u schyłku rządów Mieszka I. Co do Grodów Czerwieńskich to wiadomo tyle, że w 981 roku zdobył je Włodzimierz ruski „na Lachach”. Śląsk (może wraz z Krakowem) jest zapewne ostatnim nabytkiem Mieszka, owym „regnum” zabranym Czechom w 990 roku. Pierwszą natomiast część panowania Mieszka, poczynając (od przypuszczalnej tylko) daty 963 po rok 973, wypełnia walka o Pomorze Zachodnie z uściami Odry, które też ostatecznie dostaje się w jego ręce. Znane są epizody dwukrotnej początkowo porażki Mieszka z rąk Redarów (prowadzonych przez Wichmana), następnie jego zwycięstw: w 967 roku (z pomocą Czechów) nad koalicją Redarów i Wolinian (śmierć Wichmana), oraz w 973 roku nad margrabią Hodonem, co ostatecznie rozstrzygnęło o losach wojny i utrzymaniu Pomorza (zapewne ze Szczecinem i Wolinem). Tak ukształtowane terytorium państwa staje się przedmiotem tzw. „darowizny”, tj. oddania pod protekcję Stolicy Apostolskiej, prawdopodobnie w ostatnich latach życia Mieszka I (990-992). Świadczy o tym dokument znany szerzej pod nazwą „Dagome iudex”, który doczekał się już dość obfitej literatury. Do dziś jednak brak dostatecznych

rozstrzygnięć w odniesieniu do szeregu zagadnień z nim związanych, a to dla niejasności i szcztakowości zachowanego przekazu.

Czymże jest ów „Dagome iudex” w dzisiejszej postaci? Mówiąc krótko, są to odpisy (sześć z XII wieku, na ogół jednobrzmiących, jednak z kilku wariantami) — kopii (zapewne dwóch) — rejestru (sporządzonego około 1087 roku) z oryginału, wystawionego za czasów papieża Jana XV (985-995), najprawdopodobniej około 990 - 992. Zarówno oryginał dokumentu, jak regest (z kopiami) zaginęły, a raczej nigdy nie były znane badaczom. Teksty zachowane, odległe w czasie od oryginału około dwóch stuleci i odrodzone zaginionym regestem i jego kopiami, musiały być zrozumiałych względów ulec licznym zniekształceniom, zwłaszcza w nazwach polskich, trudnych dla cudzoziemca. Trudno jest zatem dzisiaj na ich podstawie wyrokować ostatecznie o „zagadkach” tekstu. A następują one ich kilka:

1) imię wystawcy dokumentu, a zarazem władcy darowanego terytorium — „Dagome” z przydanym tytułem „iudex”, małżonka „Ote senatrix” (tym był Mieszko I);

2) „civitas Schinesghe” („Schinesne”, „Schinesne”, „Schinesgne”), gród-miasto, ośrodek centralny darowizny, a równocześnie — jak z niejasnego tekstu mogłoby wynikać — również i gród leżący na półn. - zach. granicy, nad Odrą;

3) nieobecność w dokumencie Bolesława Chrobrego, najstarszego syna Mieszka (choć nie z Ody, a ze zmarłej dawno Dąbrówki), podczas gdy dwaj młodszy synowie Mieszka i Ody, „Misica et Lambertus”, figurują w dokumencie;

4) nie jest jasne, czy wymieniony w dokumencie Kraków znajduje się w granicach państwa Mieszkowego, czy poza nimi?

5) „Alemure” („Alemura”), zniekształcona zapewne nazwa jakiegoś obiektu geograficznego (ziemi? grodu, rzeki?), leżącego w rejonie źródeł Odry;

6) „longum mare” na oznaczenie północnej granicy ziem polskich.

Dokument tej wagi od dawna budził najwyższe zainteresowanie badaczy. Zwłaszcza drugie i trzecie wydanie „Collectio Canonum” w latach 1905 i 1933, (w których właśnie mieści się „Dagome iudex”) stało się bodźcem dla podjęcia trudu nad rozwiązaniem „zagadek”. Usiłowano z niego dociec prawdy o ostatnich latach Mieszka I, o następstwie Chrobrego (który — jak wiadomo skądinąd — nie zupełnie pokojową drogą, bo przepędzeniem macochy i jej synów oraz innych pretendentów, władzę osiągnął); usiłowano również wysnuć wnioski odnośnie starań Mieszka o koronę lub arcybiskupstwo, na tle wjaśnionych stosunków między papieżem, Polską i cesarstwem. Niejasności skażonego tekstu dawały okazję do rozbieżnych interpretacji i konstruowania niekiedy bardzo pomysłowych hipotez. Nie tu jest miejsce na wyliczanie pełnej literatury przedmiotu. Każdy z badaczy zajmujący się X stuleciem musiał temu poświęcić pewną uwagę. Wspominamy tylko niektóre prace na szczególną uwagę zasługujące.

W 1911 roku ukazały się niezależnie od siebie trzy monografie: fundamentalna do dziś jeszcze J. Ptaśnika. Dagome iudex (wyd.



w Krakowie), interesująca M. Łodyńskiego. **Dagome iudex i kwestia sardyńska w XI w.** (Rozpr. Ak. Umiej., t. 54), oraz pełna pomyślowych dowolności K. Städtnickiego. **Die Schenkung Polens an Papst Johannes XV** (wyd. we Freiburgu). Z późniejszej obfitej literatury wspomnieć trzeba S. Zakrzewskiego. **Najdawniejsza bulla dla Polski** (Archiwum Naukowe, Lwów 1921), pełną służnych spostrzeżeń pracę L. Koczeja (przebywającego dziś na uchodźstwie w Szkocji) **Dagome iudex, Schinesghe i Awbaba** (Roczniki Historyczne, XII, Poznań 1936), oraz powojenne G. Labudy, **Znaczenie prawno-polityczne dokumentu „Dagome iudex”** (Nasza Przeszłość, 1948, 4, 33-60), H. Łowmiański. **Imię chrześciane Mieszka I** (Slavia Occidentalis, 1948, XIX, 203-303), a także S. Kętrzyńskiego, **Dagome iudex** (Przegląd Historyczny, 1950, 41, 132-151), nie licząc szeregu przyczynków odnośnie samego imienia Mieszko-„Dagome” (Semkowicz, Urbańczyk, Otrąbski, Widajewicz), lub „Schinesghe” (Wojciechowski, Labuda, Widajewicz). Osłania wiele cennego materiału z zakresu geografii historycznej doszła doskonała monografia Z. Sulowskiego. **Najstarsza granica zachodnia Polski** (Przegląd Zachodni, 1952, VIII, 3/4, 343-483); analiza „Dagome iudex” na str. 428-434 oraz passim).

Nie zajmujemy się pracami autorów obcych, zwłaszcza Niemców, z których część (np. Kehr) wykazywała doskonały umiar w analizie i ocenie wartości dokumentu, większości jednak fantastyczne imię „Dagome” dało asumpt do twierdzeń o „normańskim pochodzeniu Piastowiczów”. Ostatnio zresztą dokonał się stanowczy odwrót (Ludat, **Die Anfänge des polnischen Staates, 1942**) z owych „normańskich pozycji”. Wymienione poprzednio prace polskich autorów cechuje całkowite zarzucenie hazardownych pomysłów, trzeźwość i umiarkowanie, bez silenia się na rozwijanie „jedynych i ostatecznych”, które przecież uniemożliwia wielka niewiadoma zniekształceń dokonanych przez kopistów i brak dokumentu oryginalnego. Do dziś panuje rozbieżność w tłumaczeniu wątpliwości. Wyłowić jednak można niektóre powoli krystalizujące się poglądy, noszące znamiona prawdopodobieństwa. Najtrudniej wytlumaczalny jest brak w dokumencie imienia Bolesława Chrobrego. Skala przypuszczeń jest bardzo szeroka: od możliwości konfliktu w rodzinie księżęcej po najbardziej wulgarnie przeoczenie kopisty.

Są też jeszcze wahania co do przynależności Krakowa, ostatnio jednak zdaje się przeważać opinia, że Kraków około 990 r. był w ręku Mieszka I. Nazwa „Alemure” defini tywnego tłumaczenia dotychczas nie znalazła. Zgodnie jednak dostrzega się w niej zniekształcenie kopistów, a jako rozwiązanie brano pod uwagę Morawy, Ołomuniec, Ołomorze, „silva Mora”, rzeczulka Mora (dopływ Opawy) i inne. Każda z nich przedstawia pewne możliwości. „Longum mare”, które na pierwszy rzut oka zdaje się znaczyć „Długie morze”, w odniesieniu do Bałtyku, północnej naówczas krawędzi państwa Mieszkowego, staje się raczej niezrozumiałe. Najszlachetniejszy zdaje się pogląd (pojawiający się już dość dawno w polskiej historiografii, a ugruntowany ostatnio przez S. Kętrzyńskiego), że nazwa ta jest odpowiednikiem terminów łacińsko-włoskich — „Lungomare, Lungotevere, Lungarno”, co w polszczyźnie wyklada się najogólniej jako „pobrzeże”, a w konkretnych wypadkach jako „Powisie”, „Pomorze”. Właśnie **Pomorze** jest doskonałym wykładnikiem owego „longum mare” z „Dagome iudex”. I to rozwiązanie wydaje się najprawdopodobniejsze.

Nie ma również ostatecznej zgody na znaczenie zagadkowego „Dagome iudex et Ote senatrix”. Ostatnio dopatrywano się w nim skrót u imienia Dagobert, chrześciane jakoby imienia Mieszka. Do dziś jednak nie straciła wartości korektura O. Balzera (**Genealogia Piastów, Kraków 1895, str. 24**), że jest to błędna lekcja kopisty, którą należy czytać: „Chryzmon” (znak benedykcyjki stawiany na początku dokumentu) „Ego Mesico Dux cum Ote uxore mea”. Od strony paleograficznej rzecz biorąc, taki błąd istotnie mógł się pojawić. Opinie są również podzielone w odniesieniu do „civitas Schinesghe” (z wariantami) wymienionej w dokumencie dwukrotnie: na początku jako gród stołeczny darowizny, oraz na końcu jako gród graniczny, jak gdyby nad ujściem Odry położony. Jedni widzą w nim Gniezno, drudzy Szczecin. Paleograficznie Szczecin wygląda jako nie do przycięcia, geograficznie natomiast wiele za nim mogłoby przemawiać (nb. powtórne wymienienie na końcu dokumentu). Gniezno ma za sobą podobieństwo nazwy (co tak silnie podkreślał zwłaszcza S. Kętrzyński): S-Chinesg(h)e, S-Chinesne, a nawet S-Chinesne, nie odległe jest od częstej pisowni Gniezna we wczesnych dokumentach średniowiecznych. Przemawiał też za nim argument może decydujący. Zdaje się, że ma słusność S. Kętrzyński (**Przegląd Hist., 1950, str. 151**), kiedy pisze, że „Dagome iudex jest kartą prehistorii Zjazdu Gnieźnieńskiego w 1000 r.” i kreowania tam metropolii. Darowizna jest przejawem starania Mieszka o niezawisłą prowincję kościelną. I charakterystyczne (co ostatnio podniósł G. Labuda), że darowizna ziemi polskich nastąpiła bezpośrednio po zdobyciu Śląska (i Krakowa?), należącego do Czech. Czy nie była ona również asekuracją przed ewentualnymi pretensjami Moguncji lub Ratyzbony, którym terytoria czeskie kościelnie podlegały (tak samo zresztą, jak i przeciw Magdeburgowi). Gniezno występuje więc w dokumencie jako ośrodek upatrzonej na siedzibę przyszłego arcybiskupstwa. Stąd wzmianka na początku dokumentu („nam civitatem in integro que vocatur Schinesghe cum omnibus suis pertinentiis”). Powtórzona zaś ta sama nazwa na końcu dokumentu — zgodnie ze słusznym przypuszczeniem J. Widajewicza — odnosi się do Szczecina. Pogląd ten wydaje się najtrafniejszy.

Dla kopisty, czy nawet dla autora regestu, obce, pełne spółgłosek nazwy przedstawiały trudność nie do przełamania. Na jego gust były nawet dość podobne (zjawisko to powtarza się nawet dzisiaj). „Ujednolicił” więc kłopotliwą nazwę i przypięczętował sprawę, pisząc na końcu „usque in predictam civitatem Schinesghe”. Słowo „predictam” byłoby nie dowodem orientacji kopisty w sprawach geografii, lecz przeciwnie wymownym znakiem zagłuszenia i likwidowania przezeń wątpliwości. Dodajmy przy tym, że owa litera „S” na początku nazwy „Schinesghe” pozostawała jako widomy ślad stopienia w jedno nazw Gniezna i Szczecina. Tak przedstawiałyby się w najogólniejszym skrócie wyniki dociekań nad „Dagome iudex”. Jak widać nadal otwarte jest pole do dalszych badań i poszukiwań.

Przed niespełną rokiem z interesującą hipotezą wystąpił dr A. Steffen, w opublikowanym szkicu „**Greckie ślady w Dagome iudex**” (**Antemurale, III, Romae 1956, str. 97-116**). „Badając stronę językową regestu, doszedłem do wniosku, że oryginał musiał być wystawiony w języku greckim” — pisze on i za punkt wyjścia swych wywodów przyjmuje przede wszystkim słowo „locus” — „miejsce”, użyte w dokumencie na oznaczenie Rusi

(„Russe”). Ruś nie jest miejscem lecz krajem. W języku greckim zaś „topos” znaczy zarówno „miejsce” jak „kraj” (łac. „terra”, „regio”). Słusznie przypuścić można, że nie zbyt dobrze zorientowany w geografii autor regestu z łatwością mógł przetłumaczyć „topos Russe” jako „locus Russe” (zamiast „terra Russe”).

Raz przyjąwszy tezę o greckim oryginale dokumentu, dr Steffen konsekwentnie doszukuje się śladów greczyzny w dalekim odpisie-kopii-regestu. I — prócz wyjątkowego „locus” — znajduje ich jeszcze kilka. Ślady te widzi nawet w nazwach takich jak „Russe”, „Pruze” i „Milze”, pochodzących — według niego — z tłumaczenia „Roussai”, „Proussai”, „Milzai” w „brzmieniu nowogreckim”. Nie wygląda to wcale przekonywująco z uwagi na istniejące analogiczne samorodne formy łacińskie. Również nie nie wskazuje na to, by forma imion „Ote” i „Oddere” („Oddera”) musiały być nieodzownymi greckiego pochodzenia. Łacina całkowicie wystarcza. A już zupełną dowolnością jest stwierdzenie — bez jakichkolwiek dowodów źródłowych — że „longum mare” jest po prostu tłumaczeniem greckiego „makrē Tālassa” lub „makrōn pēlagos” — „Długie morze”, jako nazwy uważanej przez miejscową ludność na określenie Bałtyku. Twierdzenie to wisi w powietrzu.

Dalsze tezy dr. Steffena mają posmak pewnej sensacji. Imię „Dagome” w jego interpretacji to nie imię lecz tytuł Mieszka I. „Mamy tutaj do czynienia ze spolonizowanym wyrazem greckim” (!) — pisze autor — „diagoneus” — „progenitor” — „podtrzymujący ciągłość rodu przez rodzenie” (!) Podobnie „Lambertus” — to nie imię syna Mieszkowego, lecz — tytuł nie wymienionego w dokumencie Bolesława Chrobrego. I dr Steffen, opierając się „oczywiście na nowogreckiej wymowie”, wyprowadza ów tytuł z „pierwowzoru”, który „mógł mieć formę „analabairetos”. Zagadkowe zastąpienie imion (nigdzie nie znanymi) „tytułami” dr Steffen tłumaczy pogodnie, że „tytuł dla aktu donacyjnego miał większe znaczenie niż jego imię” (!). Mniejsza o to, że imię (a nie „tytuł”) Lambert było naówczas używane w rodzinie piastowskiej, i mniejsza również, że imię innego syna Mieszka I — „Misica”, też Mieszka, występuje w dokumencie (razem z Lambertem) bez jakiegokolwiek kryptonimu — „tytułu”. Wywody dr. Steffena grzeszą nadmierną sztucznocią.

A już pełnym szczególniej inwencji jest wywód „Schinesghe”. Dr Steffen odrzuca zarówno Gniezno jak i Szczecin, pierwsze ze względów geograficznych, drugi — paleograficznych. Dowodzi natomiast, że jest to nazwa złożona z wyrazów „Schines” i „ghe”. Człon pierwszy wywodzi się z pierwowzoru „Zinnesos”, powstałego ze słowa „nesos” — „wyspa” z przedrostkiem „zin” — „sin” (łac. „cum”) — „z, razem”. To ma znaczyć „złączona wyspa”. „Ghe” zaś (według nowogreckiej wymowy!) — „ge” znaczy „ziemia”. Całość to „ziemia złączonej wyspy”, w interpretacji autora — Pomorze, „Złączona wyspa” jest Wolin i Uznoim u ujścia Odry do Bałtyku, a leżące na pierwszej z wysp miało Wolin jest — stolicą Mieszka I. „Tu rezydował książę dziedziczny w czasach pogańskich aż do zbuntowania się wyspy (reakcja pogańska i rządy starszyny na Wolinie)” — pisze dr Steffen. Chronologia zgola nieuchwytna. I cóż zresztą wspólnego ma mityczny książę na Wolinie z Mieszkiem I? Świadectwom Anonima-Galla i wszystkich innych kronikarzy polskich. Widukindowi, Thietmarowi, Żywotom św. Wojciecha, najstarszym rocznikom i dokumentom, wznoc-

nionym aż nadto silnie przez dzisiejsze odkrycia archeologiczne, dr Steffen przeciwstawia jedynie własny syllogistyczny wywód, nie krepujący się ani danymi chronologicznymi, ani geograficznymi. „Stolica” leżąca dokładnie na granicy państwa, niekiedy poza jego granicami, to na ogół zjawisko niespotykane. A zastąpienie nazwy „stolicy” w dokumencie skierowanym do Stolicy Apostolskiej jakimś kryptonimem ukutym z cech topograficznych położenia, musi budzić najwyższe zdumienie. Podobnie jak imiona władcy i jego następcy, również opatrzone kryptonimem.

Jest widoczne, że filologiczne wywody dr. Steffena mają uzasadnić z góry powziętą tezę i stąd ich słabość. Aplikując w ten sposób przesłanki dotyczące „ghe” — „ge” do nazw takich chociażby jak Ge-nazaret, Ge-tsemani, nie mówiąc już o notorycznie arabskich Ge-bel (np. Gebel-al-Tarik), można by dojść do wyników rewolucjonizujących znany bieg dziejów.

Jak śliskie są zresztą wyniki, bazujące wyłącznie na dopasowanych a priori przesłankach filologicznych z zupełnym zapoznaniem konkretnych faktów, za przykład mogą posłużyć studia Szajnochy, doszukującego się śladów wikińskich w polskich nazwach topograficznych (nie uciekającego się zresztą do tak skomplikowanych wywodów jak poprzednio przytoczone). Jedynym nie filologicznym argumentem użytym przez dr. Steffena jest powołanie się na jedenastowiecznego kronikarza, Adama Bremskiego, że w mieście Jumne (Wolin) prócz Słowian zamieszkiwali „barbarzyńcy i grecy”, a ponadto znajdowała się tam latarnia morska („Olla Vulcani” zwana „ogniem greckim”). To daje podstawę dr. Steffenowi do stwierdzenia, że Grecy mieszkali na Wolinie co najmniej od — V wieku przed Chr. Byłaby to naprawdę podziwu godna grecka „twierdza Grenady”, przetrzymująca na przestrzeni 15 stuleci niewzruszenie wszelkie wstrząsy, i wędrowe ludów, i upadku własnej greckiej macierzy. I mimo oczywistego braku łączności z tąże macierzą, ani zaborom, ani jakiegokolwiek asymilacji nie podległa.

Zastanawiająca jest ta ciągłość greckiej egzystencji na Wolinie tym bardziej, że w świetle badań archeologicznych okazuje się, iż w okresie rzymskim wyspy Uznoim i Wolin są „prawie puste” (por. G. Labuda, **Problematyka badań wczesnodziejowych Szczecina. Przegląd Zachodni, 1952 VIII, 1/4, str. 537**). A najbardziej niepokojące jest to, że Adam Bremski, mówiąc o Grekach, ma na myśli nie przedstawicieli antycznej Hellady i nie Bizantyjczyków, lecz — Rusinów. Wolin-Jumne był istotnie wielkim, choć nie jedynym nad Bałtykiem portem słowiańskim. Było ich więcej od Lubecki po wewnętrzny lądowy Nowogród Wielki. Znaczenie i wielkość Wolina można oceniać jedynie na tle całości życia słowiańskiego. Znikają wtedy cechy legendarne, a ujawnia się jego istotna pozycja gospodarcza i polityczna. Jakkolwiek silny i zamożny, Wolin nigdy nie odgrywał tej roli politycznej, jaką mu chce koniecznie przypisać dr Steffen (o Wolinie w świetle najnowszych badań najkrótsza relacja: „**Szczecin i Wolin we wczesnym średniowieczu**” (R. Kiersnowski, T. Wiczerowski, W. Filipowiak), **Pol. Tow. Archeol., Wrocław (Osolineum), 1954**; por. także: W. Hensel, **Slo-II, Warszawa 1956, str. 339-341**).

Odrzucając więc omówione powyżej argumenty dr. Steffena jako nie znajdujące oparcia w źródłach, zwracamy uwagę na dwa ostatnie. Pierwszy, to charakterystyczna pisownia nazwy Krakowa — „Craccoa” („Craccoa”, „Craccoa”), pozbawionej występującej

tu zazwyczaj w pisowni łacińskiej litery „v”. „W alfabecie greckim nie było znaku bilabialnego „w”, dlatego pisarze pisali ou, eu, au b, e, lub zgola nie podstawiali (zero dźwięku) jak w naszej nazwie” — słusznie zauważa dr Steffen. Argument drugi — to „Alemure” („Alemura”). Dr Steffen wyprawada to z greckiego „allemoure” — co w jego interpretacji ma znaczyć — „zbieg granicy (sc. z Odry) w przeciwnym kierunku”. Nie byłaby to więc nazwa topograficzna, lecz przysłówek, który autor regestu miałby przeczytać za nazwę własną.

Dr Steffen uważa ten argument za decydujący. Nie podzielimy jego opinii. Pewną wątpliwość budzi już to, że podobnych „zwrotów granicy w przeciwnym kierunku” państwa Mieszkowego winno być co najmniej trzy. Dlaczego tylko w jednym miejscu, i to w sąsiedztwie obiektów geograficznych o nazwach zlekka podobnych (Morawy, Mora itd.) ten termin został użyty? W każdym razie domysł dr. Steffena zasługuje na uwagę. W ostatecznym rachunku z analizy dr. Steffena zostawałyby trzy punkty uzasadniające podejrzenia (tylko podejrzenia) odnośnie greckiego oryginału „Dagome iudex”. Najpierw „locus” — „topos”, naszym zdaniem najsilniejszy, bo nie związany z żadną nazwą topograficzną, która pod piórem rzymskiego pisarza, nie zawsze tęgiego w geografii i filologii słowiańskiej, łatwo mogła ulec zniekształceniu; „locus” natomiast wskazywałby wprost na błędne tłumaczenie słowa polspolitego. Następnie szła by „Craccoa” i — z pewnymi już zastrzeżeniami — „alemuire”. Tak wyglądałaby wstępna selekcja argumentów za greckim oryginałem najstarszego dokumentu dotyczącego Polski.

Jednakże już pierwsza próba skonfrontowania argumentu „locus” ze słownictwem spotykanym w łacinie średniowiecznej wypadła niepomyślnie dla tezy dr. Steffena. Okazuje się, że „locus” w znaczeniu „kraj-ziemia” użyty został w kilku źródłach łacińskich nie będących w żadnym wypadku przekładami z języka greckiego. Chodzi tu mianowicie o najstarszy żywot św. Wojciecha (z 999 roku), o kilka zaledwie lat odległy od „Dagome iudex” (990-992), oraz o XIII-wieczne najprawdopodobniej „Descriptio Alsatiae” i „Descriptio Theutoniae”. W tych to źródłach użyto wyrazu „locus” na określenie krajów: „Slavonia”, „Alsatia” i „Theutonia, seu Alemaniam, seu Germania”. Traci więc wszelkie uzasadnienie pomysł o koniecznym pośrednictwie tłumaczenia greckiego „topos” w „Dagome iudex”. Nie mamy

w tej chwili dostatecznych danych, czy cytowane przykłady wyczerpują całkowicie stosowny materiał językowy zawarty w średniowiecznych źródłach łacińskich. Nie jest też wykluczone, że ilość przykładów dałaby się pomnożyć. Jednak nawet w obecnej sytuacji jasne się staje, że argument „locus” jest bezużyteczny. Pozostają nadal do rozważenia wspomniane poprzednio: „Craccoa” oraz wątpliwe „Alemure”.

Niżej podpisany dał wyraz tym poglądom w krótkim artykule zamieszczonym w ZYCIU z dnia 19. 5. 1957, nr 20(517), str. 4. Wskazując argument „locus — topos” jako chybiony, pisał w zakończeniu: „Nie znaczy to, by hipoteza dr. Steffena nie zasługiwała na uwagę. Mógł być nieco późniejszy św. Stefan węgierski (997-1038) być wystawcą dokumentu greckiego (Monumenta Hungariae Historica, Diplomatica, tom VI, nr 216, str. 347-348), trudno jest więc całkowicie wykluczyć, że coś podobnego zdarzyć się mogło i Mieszkowi I. Wnuk jego Mieszko II (ur. 990) poprawnie tym językiem władał, choć było to już inne czasy. **Hipoteza dr. Steffena, by mogła nabrać cech prawdopodobieństwa, musi być podbudowana rzetelnymi dowodami mającymi oparcie w źródłach.**” Postulat chyba sam przez się zrozumiały i nie przynoszący w niczym ujemny wysiłek dr. Steffena. Nie odrzuca się a priori jego koncepcji greckiego oryginału „Dagome iudex” (choć nie wydaje się bardzo prawdopodobna). Przeciwnie, szuka się nawet pewnych analogii, jakkolwiek te nie mają wartości dowodowej. Bo nawet jeśli sama koncepcja nie okaże się słuszną, to przecież nowe badanie może przynieść tylko pożytek, może wydobyć źdźbło prawdy lub wskazać drogi dotychczas nie wyznaczone. W każdym razie — mówiąc słowami Buchmana — „sprawa na tym zyska”, właśnie dlatego, że się „ją z nowego zważa stanowiska”.

Podaje się natomiast próbie argumenty, którymi dr Steffen podbudował swą koncepcję. Znaczna część z nich nie wytrzymuje najbardziej nawet pobłażliwej krytyki. Autor zbyt daleko idzie w swych konkluzjach (np. „stolica” Piastów w Wolinie), zatracając nieraz poczucie historycznej rzeczywistości. Nieliczne tylko zasługują na uwagę, a i one muszą być sumiennie przeanalizowane w oparciu o możliwie najszerszy materiał porównawczy, nie tylko lingwistyczny. Im surowsza i rzetelniejsza krytyka, tym pewniejsze wyniki końcowe.

Władysław Kujawski

WYSZŁA JUŻ Z DRUKU

oryginalna, na wskroś egzotyczna i równocześnie na wskroś swojska książka

ALICJI KISIELNICKIEJ

## BIAŁE DZIECI NA CZARNYM ŁADZIE

z ilustracjami Danuty Laskowskiej

odtworząca barwnie, pięknie i żywo wrażenia polskich dzieci w zetknięciu z osobliwościami półdzikiej Ugandy, gdzie po wydstaniu się z Rosji, znalazło się w obozach uchodźczych wiele wojskowych rodzin polskich, Książka powstała w obozie Koja. Siegną po nią jednak z pewnością nie tylko byli mieszkańcy tego obozu, dla których jest ona cenną pamiątką. Równie interesująca będzie dla wszystkich, którzy Afryki podrównikowej nie znają, i to tak samo dla dzieci, jak i dla starszych.

Cena książki szyl. 7/6; dol. 1.10.

Do nabycia u wydawcy:  
w VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE  
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.



## NOTATNIK PODRÓŻNY (II)

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

Manresa — Lerida 20 sierpień

Krętą, malowniczą drogą zmierzamy ku traktowi Barcelona — Zaragoza — Madryt. Za którymś zakrętem Janusz gwałtownie hamuje: „Patrz! Patrz.” Po drugiej stronie bardzo zielonej doliny wznosi się dziwaczny zespół skał wyrastających architektonicznymi niemal formami spośród łagodnych wzgórz. Bajkowa konstrukcja podobna jest do zamku z opowiadań niańki, do świątyni nieznanego obrządku. — „Ależ to Montserrat!” — „Skądże?!” Zaczyna się jedna z krótkich, gwałtownych sprzeczek podróży. Nawet mapa nie może rozstrzygnąć sporu. Ruszamy w dalszą drogę wzajemnie nie przekonani. Ale kamienna zjawia zbliża się, pięknie. Widmowo niktne, aby ukazać się nagle zza zakrętu. Nie może być wątpliwości: Montserrat — legendarna siedziba świętego Graala. Janusz kapituluje. Pyta pojednawczo: „Sam powiedz, skąd, skąd mogło się wziąć takie kamienne dziwo?” — „Skąd?... Posłuchaj:

„Gdy świat był jeszcze młody, a jego kształty niedojrzałe, powiedział Bóg-Stwórca w sercu swoim: Zbuduję dom, dla Maryi błogosławionej między niewiastami, a także dla braciszków dobrego Benedykta — jej wiernych sług. Wprawdzie nie urodziła się jeszcze Maryja ani braciszki, ale trzeba przygotować im mieszkanie, aby nie potrzebowali gnieździć się w szałasach czy rozpadlinach skalnych.

I natychmiast posłuszne moce nosić zaczęły głazy a wiatr i wody gładziły je pracowicie. A gdy dzieło było już ukończone ucieszył się nim Bóg i rzekł: „Zaprawdę godne jest to miejsce, aby stać się siedzibą Maryi” — a po chwili dodał: — „Ale że mieszkać tu mają także braciszki Benedykta, którzy przyszedłszy z dolin, nie będą nawykli do surowego piękna kamienia, odzieje te miejsca dla ich uciechy zielenią” — i własnymi dłońmi posiał kolczaste krzewy i wonne zioła oraz dozwolił, by owady, ptaki a także zwierzęta zamieszkały pałac, którego kamienne kolumny podpierają strop gwiazdzysty. A kiedy ukończył swe dzieło, nadał mu w dobroci swojej imię Montserrat.

A gdy po tysiącach przyniesiono tu czarny posążek Madonny z Dzieciątkiem, w ślad za nim przybyli braciszki, zadziwili się pięknem miejsca i postanowili wnieść świątynię i klasztor, gdzie po wieczne czasy chwalić by można Przedwiecznego i Maryję Pannę. Uśmiechnął się Bóg na ich naiwną zaręczliwość i pozwolił pracowicie, mrowczo gromadzić kamienie i budować dom we wnętrzu pałacu, który wznosił był tchnieniem i strzępkami swej myśli. Wzruszony ich pracą i pobożnością rozkazał, aby ludzie znieśli tu nieznośny ciężar kalectw, chorób i cierpień, a odchodzili uleczeni i weseli. Odtąd ciągnęły z Katalonii i Hiszpanii, z całego zresztą świata rzesze pielgrzymów.

Czarny posążek Maryi nie uśmiecha się nigdy. U Jej stóp spoczywa zbyt wiele człowiecznych cierpień, udręczeń i krzywd. Ludzie odchodzą radośni, zapominają łatwo o minionych złem. Ale pamięta Maryja ukryta wśród ciemności i złota, owiana kadzidłem.

Klasztor wielokrotnie zdmuchnęła historia rozrzucając mozolnie przez braciszków gromadzone kamienie. Odbudowywali go z benedyktyńską ścią cierpliwością ku chwale Bogu i użytkowi ludziom. Ale stoi nietknięty przez czas przybytek, który przed wiekami wznosił Stwórca. Do dziś obmywają go posłusznie ulewy i gładzą wiatry dodając tylko czasem jakiś nowy szczegół do wiecznej struktury a w szczelinach skał krzewi się wonna zielen, zasiana tu kiedyś Wszemocną Dłonią. Ludzie jak zawsze przepływają przez ciemny przybytek, całują czarną dłoń Maryi i odchodzą, zbyt łatwo zapominając o doznanej pociesze.

Lerida 21 sierpień

Przyjechaliśmy tu wczoraj późnym popołudniem i natychmiast po znalezieniu pensjonatu i obmyciu się z pierwszego brudu oraz znużenia wyruszyliśmy ku wzgórz zamkowemu, uwieńczonemu półruiną starej katedry. Szliśmy na ślepo krętymi uliczkami starego miasta — byle w górę. Przekorny instykt nie doprowadził nas do szerokiego serpentyn głównego wjazdu, ale pod usypiska, skały i wyszczerbiony od obłożenia oraz przepływu czasu mur. Umorusani i podrapani dostawaliśmy się z tarasu na taras coraz wyższych obmurowań. I nagle stanęliśmy twarzą w twarz z rudym mrokiem umarłej świątyni. Kamienna koronka okien oszklona miast witraży dogasającym niebem albo czernią wnętrza i mury, na które zachód rzucał gorący odbłask. W dole miasto-ugór mroku, skąpo obsiany pierwszymi światłami. Ta budowla odosobniona na wzgórz — daleka od ziemi i odległa niebu — była podobna w swym onieśmielającym pięknie ru-

inom antyku, które oparły się prawom przemijania. Było w tym coś teatralnego. Myślę o teatrze, który jest ukrytym ukrytym rzeczywistości, a nie jej karykaturą. Jakby dekoracje do nie napisanego przez Krasieńskiego dramatu.

Katedra, wznoszona od 1203 roku przez parę wieków, w swoim głównym zrębie jest romańsko-gotycka. W roku 1707, czasu wojny sukcesyjnej zamieniona na koszarę, niszczonego głową rzeźbom. Niezdarne żołdackie rysunki pstrzyły przez dwa i pół wieku średniowieczne ściany. Dopiero od kilku lat prowadzone są roboty nad rekonstrukcją i konserwacją katedry. Prace idą powoli, opóźniane trudnościami finansowymi. Kieruje nimi jednak nie tylko znawstwo, ale i czułość, Tymczasem w szczelinach murów gnieźdzą się ptaki i pięknie sklepienie jest świadkiem ich krótkich żywotów, pełnych śpiewu i drapieżności. W ciągu dnia zagłada tu ciekawe słońce łagodząc ponure piękno zamysłonego kamienia.

Santa Maria de la Huerta 21 sierpień

Kilka godzin drogi wśród wichury, słońca i dzikiego krajobrazu. Gole wzgórz. Niekiedy kępa zieleni; parę chałup lub przydrożne źródło, gdzie można się napić wody ciekawej z kamiennej paszczy lwa i kupić nieco owoców przyniesionych tu przez okoliczną dzieciarnię z ogrodów ukrytych gdzieś za szarymi wzgórzami. Huragan nosi nas po szosie, czasem przycicha, by uderzyć zniemaczką. Jest jakaś trudna, zacieka przyjemność w tym zmaganiu się z wichurą. Nawet motor — martwe z pozoru bydlę — bierze w tej walce udział. Posłusznie gna po szosie pijąc



Zamek w Siguenzy

tylko od czasu do czasu benzynę i warcząc na atakujący go wiatr.

I oto nagle cisza. Białe klasztorne podwórze. Przedwieczne, złagodniałe słońce, błękit Zza kraty okienka wygląda czerstwa twarz cystersa, kontrastowo młoda w zestawieniu z siwą sięgającą pasa brodą. Przyjmuje nas uprzejmie, a dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, bardzo serdecznie. Chodzimy po ozdobnych krużgankach barokowych i renesansowych dziedzińców, po chórze całym z rzeźb w drzewie, po romańskich nawach. Jak tu dużo ciszy! W średniowiecznej kuchni zachowało się kolosalne palenisko i komin. Nawet w jego wnętrzu kuto kamień w ozdobne kształty. To, co zawsze zadziwia w średniowieczu: troska o piękno niedostrzeganego prawie szczegółu, dbałość o „dobrą robotę”.

Oprawdający nas ojciec jest bystry, roztropny, czytany. Mówi kilku językami, zna świat — jego urok i jego zaręczliwość. Mówimy o szczęściu, które tak trudno znaleźć, o wojnie, o lęku i o ciszy. Jakże inaczej wygląda wszystko w takiej rozmowie; jakby patrzyło się na świat od zewnątrz, a na siebie od środka.

Na jednej z klatek schodowych kamienna poręcz jest brzydko poszczerbiona podłużnymi wyżłobieniami. „To kawaleria francuska, która tu kwaterowała w czasie wojen napoleońskich ostrzyła sobie szable” — wyjaśnia zakonnik. „Nic świętego dla tych bezbożników — Francuzów” — dodał pół-gniewnie. Staram się sobie przypomnieć czy przypadkiem nasi szwoleżerowie i lekkokonnicy gwardii nie bywali w tych stronach. Zakonnik, widząc że milczę, podejmuje uprzejmie temat przyjaźni hiszpańsko-polskiej i podobieństw między obu narodami: „Czasami to nawet głupstwa robimy podobne, krew mamy, widzi pan, gorącą” — dodaje dla usprawiedliwienia. Przytakujemy skwapliwie zerkając z ukosa na wyżłobienia poręczy.

Siguenza 22 sierpień

Zajechaliśmy tu wczoraj wieczorem przekonani przez naszego przewodnika-cystersa z Santa-Maria de la Huerta. Zboczenia do Siguenzy nie było w programie. Ale droga



Santa Maria dela Huerta. Jeden z dziedzińców klasztoru cystersów

jak zwykle układa się z samych niespodzianek. Surowa, prawie forteczna architektura katedry urzekła nas od razu. W pensjonacie dowiadujemy się, że w miasteczku mieszkają Polacy. W Hiszpanii nie należy się dziwić niczemu, a przede wszystkim nieoczekiwanym spotkaniom: na ulicy św. Rocha znajdujemy Wojciecha Zaleskiego z rodziną. Zjechali tu z Madrytu na wakacje i znają oczywiście na wylot Siguenzę — jej piękno, zabytki i plotki. Więc radość i bezładna wymiana wieści, anegdot, projektów. Gadamy do późna w domu, w kawiarniach, wreszcie na ulicach oświetlonych gwiazdami.

## BIBLIOTEKA POLSKA

W SUBSKRYPCJI  
NA MIESIĄC WRZESIEŃ:

JĘDRZEJ GIERTYCH

## WRZEŚNIOWCY

Pierwsza w literaturze polskiej relacja o obozach jenieckich w Niemczech, napisana na podstawie własnych przeżyć autora w siedmiu obozach, w których kolejno przebywał, ponawiając sześć razy próby wydostania się na wolność. Wiernie odtworzenie nastroju — życia w zamkniętych obozach w czasie, gdy ważyły się losy Polski, element przygody zawarty w opisach ucieczek, żywość narracji — wszystko to sprawia, że pamiętnik Jędrzeja Giertycha jest lekturą istotnie pasjonującą.

CENA W SUBSKRYPCJI  
do dnia 30 września bieżącego roku:  
10 szyl.; 1.50 dol.; 600 fr. fr.

Zamówienia przyjmuje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”  
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

Najstarsza część miasta wspina się od katedry po wzgórz ku murom zamku. Jak w wielu miasteczkach Hiszpanii, każdy dom wart jest tu bacznej uwagi: niejedna bowiem skromna brama kryje zachwycającą niespodziankę wewnątrz. Ale przyciemnia wszystko katedra. Rosta powoli od połowy dwunastego wieku i wszystkie prawie wielkie style architektury oraz sztuki przyczyniły się do wzbogacenia jej romańskiego zrębu. Zbiory muzeum diecezjalnego uświetnia „Zwinstowanie” El Greca i doborowy zbiór kastylijskich rzeźb średniowiecznych. Wśród nich wyróżniają się trzynastowieczna rzeźba w drzewie N. Maryi Panny, łącząca urok „pięknych Madonn” z władczą mocą Królowej, i naiwna „Ucieczka do Egiptu”.

Renesansowe sklepienia zakrystii pokrywają kasetony wypełnione na przemian rozetami i wkompowanymi w koła rzeźbami głów, których różnorodność i zindywidualizowanie pozwala nazwać ją swoistą galerią 308 portretów przypominającą żywo strop Sali Poselskiej na Wawelu.

Warto zaznaczyć ciekawą zbieżność dat: strop Sali Poselskiej powstał w latach 1531-1535, wnętrza zakrystii w Siguenzy w latach 1532-1561. Pomijając różnice wywołane odmiennością materiału oraz kształtem pokrytej rzeźbami powierzchni, podobieństwo koncepcji jest uderzające — zdaje się — przeczy tezie Anny Misiąg-Bocheńskiej, zawartej w jej książce pt. „Głowy wawelskie” (P.I.W. 1953) z serii „Klejnoty Sztuki Polskiej”: „...zrealizowany na Zamku Wawelskim pomysł umieszczenia w kasetach olbrzymiej galerii — powiadamy to od razu — z portretowym zacięciem potraktowanych głów — zyskuje swoją oryginalnością i nie posiada — o ile nam wiadomo — odpowiednika w żadnym innym dziele sztuki renesansowej.”

Możliwości żywego reagowania na piękno są w istotach ludzkich ograniczone. Ocieżali od zachwyty, idziemy z odrobiną lęku do kaplicy de San Juan y Santa Catalina, zwanej popularnie Capilla del Doncel. Ale i ułomna natura człowieka robi wyjątki cofając czasem naszą dłoń znużenia przed potęgą sztuki. Cała siła i świeżość reagowania wraca, gdy stajemy wśród sarkofagów tego specyficznego rodzinnego grobowca.

Można rodzina De Arce złożyła tu szczątki kilku swych członków z przełomu XV i XVI wieku. Wszystkie te grobowce, piękne i ciekawe, błędna jednak i gasną wobec nagrobka Don Martina Vazquez De Arce. — Ten dwudziestopięcioletni szlachcic, rycerz spod murów Grenady, kawaler zakonu Santiago (św. Jakuba), nie zasnął snem spokojnym sztywno ułożony dłoń na mieczu. Oparty na łokciu do dziś czyta kamienną książkę. Pochłonięty lekturą nie zauważył jakby swej własnej śmierci, którą rzewnie oplakuje paż klęczący u stóp pana. Jego twarz n'e piękna, ale niezwykle inteligentna, zdradza pasję artysty, który wykonywał nagrobek, do chwywania cech indywidualnych.

Akcja dramatu Montherlanta „Le Maitre de Santiago” rozgrywa się w trzydziści lat po śmierci Don Martina. Odchodzącego z kaplicy De Arce'ów niepokoje mnie pytanie: — Po której stronie stanąby w dyskusji kawalerów zakonu Martin De Arce, gdyby przeżył te lat trzydziści? Czy obstawałby przy wyprawie po południowo-amerykańskie złoto; czy wraz z mistrzem Alvaro oskarżałby łapczywość i zepsucie wieku? Mimo pozorów renesansowej pozy, swą przedwczesną śmiercią potwierdza raczej słowa Alvara: „Stojąc u progu nowej ery, odmawiam wejścia w nią”.

(Ciąg dalszy nastąpi)



## ZYCIE MIĘDZYNARODOWE

### KŁOPOTY HISZPANII

Od lata zeszłego roku Hiszpanię nawiedziła powolna, ale stała zwykła cen, która była wyrazem postępującej, choć na razie ukrytej inflacji. Na zarządzenie władz kupy wywiesili na jesieni ubiegłego roku napisy, stwierdzające, że ceny u nich nie wzrosły od 1 sierpnia 1956, i wywieszki te, jakby na ironię widać jeszcze w niektórych oknach wystawowych. Tymczasem dotychczasowa powolna i mało widoczna inflacja zamieniła się na inflację niemal galopującą — a co za tym idzie drożyzna zaczęła wzrastać wielkimi skokami. W ciągu tego roku ceny hurtowe podniesione zostały dwa lub trzy razy, a ceny detaliczne są jeszcze bardziej wrażliwe na spadek wartości pieniądza. Ostatnich tygodniach środki żywności podrożały o 35-40%; ceny ryb i konserw wzrosły nawet jeszcze bardziej. Cena chleba została wprawdzie utrzymana na tym samym poziomie, ale za to zmniejszono wagę bochenków, a i obniżono jakość chleba. Podrożało też z 4 na 7 peset wino, bez którego nawet ubogi mieszkaniec Półwyspu Iberyjskiego nie potrafi wyobrazić sobie posiłku.

**Iluzoryczna podwyżka płac.** Wynikiem tej fali drożyzny, która objęła również tyton i komunikację, jest w praktyce zupełne anulowanie podwyżki płac, dokonanej ostatniej jesieni. Już obecnie siła nabywcza płac robotniczych i płac pracowników umysłowych jest niższa niż była przed tą podwyżką. Zarządzenia władz zabraniające podwyżki cen nie mogą, jak dotąd, być brane poważnie, skoro zły przykład dają właśnie czynniki w wielkiej mierze zależne od rządu; tak np. taryfy kolejowe, autobusowe i cena gazu podwyższone zostały o 35%, elektryczność o 20%, a ceny gazet, na które rząd także ma rozstrzygający wpływ, o 50%.

Fatalny efekt psychologiczny, jaki to ma na szerokie masy, pogłębia się jeszcze przez fakt, że masy te widzą rosnący z roku na rok napływ turystów zagranicznych do Hiszpanii i zdają sobie coraz lepiej sprawę z poprawiającą się wciąż stopy życiowej innych narodów europejskich. Niewątpliwie stopa życiowa społeczeństwa hiszpańskiego — wbrew temu co głoszą nałogowi malkontenci i przeciwnicy polityczni reżymu — również wzrosła, ale w stopniu niewspółmiernie mniejszym, a każda jej poprawa, łącząc się z obserwacją stosunków gdzie indziej, budzi nowe potrzeby. Tak też dzieje się obecnie i w Hiszpanii. Jeśli chodzi o napływ turystów, to ma on na wewnątrz efekt dwojaki: z jednej strony dodatni przez przywożenie do kraju walut i dawanie zarobków pewnym odłamom ludności, ujemny z drugiej strony, bo wytwarzający drogą porównań nastroje niezadowolenia, często pozbawione, co jest zrozumiałe, obiektywnej miary krytycznej.

**Ciężka sytuacja na wsi.** Najgorzej niewątpliwie przedstawia się sytuacja w rolnictwie, które w dodatku w roku bieżącym cierpi z powodu braku wody. Tak zwany „plan Badajoz”, o którym niedawno w ZYCIU pisaliśmy (patrz nr 31/32), w wyniku którego wielkie obszary dotychczasowych nieużytków zostają zamienione na ziemię uprawną i przekazane osadnikom spośród proletariatu wiejskiego (jak dotąd stworzono 18 nowych wsi), jest niewątpliwie osiągnięciem pozytywnym i rokującym w dalszym swym rozwoju jeszcze lepsze rezultaty. W wielu jed-

nak innych ważnych obszarach poziom rolnictwa wykazuje niepokojącą tendencję do cofania się, przede wszystkim z powodu ucieczki ludności ze wsi do miast.

W Galicji, najżyźniejszej prowincji na północnym zachodzie, stan liczebny byłby spadł w ciągu ostatnich pięciu lat o więcej niż jedną czwartą. Niemal wszędzie wielką własność parcelowana jest na obszary zbyt małe, poza tym zaś duże tereny skazane są na sztuczne nawadnianie, którego często do tej pory brak. W tych warunkach intensywna gospodarka, zgodna z nowoczesnymi wymogami, jest bardzo trudna.

Robotnicy rolni (stanowiący 50% całej ludności zarobkującej) są pod względem materialnym jeszcze gorzej sytuowani, ni robotnicy przemysłowi — i stąd rośnie wśród nich w alarmujący sposób pęd do emigracji. Całe wsie, przede wszystkim w Andaluzji, opustoszały już na skutek wędrówki do miast. Podczas gdy niektóre okręgi rolnicze cierpią już na brak rąk roboczych (inne znów na bezrobocie) w nowych ośrodkach przemysłowych powstaje proletariats, pozbawiony jakichkolwiek związków gospodarczych i społecznych z tymi ośrodkami. Dotyczy to w szczególności Madrytu w związku z tamtejszym procesem uprzemysłowienia. Ludność tego miasta, która w ciągu ostatniego stulecia wzrosła już dziesięciokrotnie, powiększa się obecnie co rok o 40-50.000 przybyszów ze wszystkich części kraju. Oczywiście dla takich rzesz trudno o jakie takie nawet pomieszczenie. Corocznie zrównywa się wprawdzie z ziemią blaszane baraki i pomieszczenia w jamach ziemnych i przenosi się ich mieszkańców do świeżo wybudowanych domów, wzniesionych staraniem Narodowego Instytutu Budowy Mieszkań, ale w najbliższym sąsiedztwie tych tanich mieszkań wyrastają jak grzyby po deszczu nowe blaszane baraki i nowe jamy mieszkalne.

Czasopismo „El Adelantado” w Segovii stwierdziło świeżo, że w wielu częściach kraju panuje taki brak robotników żniwnych, iż w innych prowincjach całe wsie wyprawiają się ciężarówkami np. w okolice Toledo i do Estremadury, by pracować tam przy żniwach. Poza tym w maju i czerwcu prawie tysiąc rodzin hiszpańskich robotników rolnych wyemigrowało do Kanady, Australii i Francji. Coraz więcej idzie też robotników sezonowych do Francji, gdzie są lepiej wynagradzani.

**Posiew rozgoryczenia.** Czynniki rządowe zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Były minister Falangi, a obecnie minister budowy mieszkań (bo i taki istnieje) Arrese oświadczył parę miesięcy temu publicznie: „Jeśli nie przeciwstawimy się najszybciej zagrażającej ucieczce ludzi ze wsi, choćby nawet w sposób tymczasowy, kraj zostanie zrujnowany, przy czym nie będzie rozwiązanie żadne z jego zagadnień. Dokoła miast utworzyły się pasy przybyszów, które zdusić muszą w zarodku każde wysiłki nowego uporządkowania miast. Co jest jeszcze smutniejsze, że w duszach ludzi, którzy przyszliznęli z pięknymi marzeniami, iż znajdują możliwość utrzymania się, utrwalac się musi ziarno rozgoryczenia i rozpacz, która kiedyś zmiecie wszystko jak burza”.

Arrese stwierdził dalej, że pierwszym warunkiem powstrzymania ucieczki ze wsi jest podniesienie stopy życiowej po wsiach. Nie wystarczy — zaznaczył — budować mieszkania, ani nawet zapewnić ludzimi wystarczające utrzymanie. „Trzeba uczynić życie na wsi przyjemniejszym — mówił — i dać mu te wszystkie dogodności, które są wytworem cywilizacji, a które dotąd są w praktyce zarezerwowane wyłącznie dla miast, jak gdyby

mieszkańcy wsi byli Hiszpanami drugiej klasy”.

**Zaniedbania stuleci.** W istniejącej sytuacji każdy rząd hiszpański, bez względu na jego zabarwienie polityczne, ma przed sobą zadania niemal że niewykonalne. Przyroda bardzo skąpo obdarzyła Hiszpanię swymi skarbami i jest niezwykle trudno zapewnić godne człowiekowi utrzymanie dla szybko rosnącego się, liczącego dziś 28 milionów dusz, narodu. Franco miał słusność, gdy mówił o „zaniedbaniach stuleci” i o „chorym gospodarstwie”. Gospodarstwo to da się uzdrowić niewątpliwie tylko pod warunkiem bardzo gruntownej przebudowy społecznej, oczywiście nie wedle schematów marksistowskich, które wtrąciłyby kraj w dużo jeszcze większą nędzę. Jak do tej pory, rząd gen. Franco, mimo wszystkich rzeczy pożytecznych, które należy zapisać na jego dobro, nie wykazał zdolności i chęci do takiej przebudowy, choć, jak widać z przytoczonych oświadczeń, jego sternicy zdają sobie sprawę z tragicznej powagi położenia.

Świadomość, że położenie to wymaga śmielszych jeszcze posunięć jest coraz żywsza zwłaszcza w kolach młodzieży katolickiej. Jej bojowy organ, tygodnik „Signo”, zamieścił niedawno apel, zatytułowany „Kampania narodowa JOC — płaca, godność ludzka, kultura” i oparty na wynikach ankiety, rozesełanej w 40.000 egzemplarzy po całej Hiszpanii (skrót JOC oznacza chrześcijańska młodzież robotnicza). Apel wyraża postulaty, które dotyczą m. in. szybkiej industrializacji obszarów objętych bezrobociem z uwzględnieniem trudności, jakie nasuwają migracje i zagęszczenia ludności, dalej intensywnego wprowadzania w życie ustawy o fachowym wykształceniu, respektowania ustawodawstwa pracy w zakresie płac, nadgodzin itd., a także szanowania prawa o swobodzie organizacyjnej, zwłaszcza kulturalnych organizacji młodzieży.

Najtrudniejszy do wykonania jest oczywiście postulat szybszej industrializacji, która, jak jest coraz widoczniejsze, nie może być przeprowadzona bez pomocy zagranicznej. W zakresie uprzemysłowienia zresztą w granicach możliwości zrobiono sporo, czego wynikiem, obok skutków dodatnich, są owe chaotyczne migracje wewnętrzne; opanowanie ich jest niezmiernie trudne bez skrepowania swobody poruszania się i osiedlania obywateli, której nawet autorytatywny rząd gen. Franco na ogół nie naruszał.

**Francisco broni swoich rządów.** Gen. Franco poszedł obecnie w ślady tych zachodnich mężów stanu, którzy od czasu do czasu udzielają dziennikarzom wywiadów na tematy polityczne i odpowiadają na ich pytania. Ostatnio dał on odpowiedź na jedenaście pytań, jakie zadał mu Francisco de Luis, kierownik wielkiej firmy wydawniczej „Editorial Catolica”, jako korespondent hiszpański NCWC-News Service. Wywiad ten ukazał się w wielkich dziennikach Zachodu.

Francisco powiedział m. in., że indywidualizm, śmiałość i zapalność, właściwość narodu hiszpańskiego, powodują, że potrzebuje on więcej niż inne narody norm dyscypliny, autorytetu i porządku — i jeśli normy takie są utrzymywane, osiąga się naprawdę rzadkie szczyty kultury i postępu. Zdaniem jego hiszpańska „ustawa zasadnicza” (Fuero de los Espanoles), która przyjęta została w plebiscytcie przez naród, stanowi „Kartę” ludzkich praw i wolności, której wypełnianie nadzorowane jest przez władze i sądy.

Oczywiście zapewnienia takie przyjmowane są krytycznie przez przeciwników rządu i tak je przyjęło wiele demokratycznych pism na Zachodzie, aczkolwiek nie ulega

kwestii, że w ciągu ostatnich paru lat rządu gen. Franco uległy sporej liberalizacji.

Francisco powiedział też, że wielu politycznych emigrantów hiszpańskich powróciło już do kraju, a dla innych droga powrotu jest otwarta.

### „MERDEKA”

Na „Stadionie Niepodległości” (Merdeka Stadion — niepodległość po malajsku znaczy „merdeka”) książkę Gloucester, stryj królowej angielskiej, w jej imieniu przekazał uroczyste akti zrzeczenia się przez Wielką Brytanię protektoratu nad państwami malajskimi oraz suwerenności Korony nad Penangiem i Malakką.

Elżbieta II pisała w orędziu do ludów niepodległej Federacji Malajskiej: „...Wierzę, że Malaje godnie wypełnią zadania, jakie stawia przed nimi niepodległość i że nadal będą dawały światu przykład zgodnego współżycia wielu ras, co było cechą charakterystyczną ich historii...” — „... Nasz dotychczasowy statut kolonialny — odpowiedział premier, Tengku Abdul Rahman — zostaje zastąpiony statutem pełnej równości niepodległego państwa, ale nasze więzy z Wielką Brytanią, umocnione wieloletnim współdziałaniem i wspólnymi wspomnieniami, będą się stawały coraz mocniejsze i trwalsze. Wielka Brytania będzie w nas miała najlepszych przyjaciół”.

**Niepodległe Malaje stają się królestwem,** w ramach Wspólnoty Narodów. Pierwszym królem elekcyjnym na okres pięciu lat został J.K.M. Jang di Pertuan Agong, Sir Abdul Rahman Ibi Tuanku Mohammed, który złożył przysięgę, przyjmując symbole władzy: w złoto oprawną księgę Koranu i złoty malajski „kris” (długi zakrzywiony nóż).

Rząd w Londynie sam przyspieszył datę wyzwolenia Malajów. Kraje te, wraz z ich bogactwem kauczuku i cyny oraz ich strategicznym znaczeniem na Dalekim Wschodzie, przestają być zależne od Wielkiej Brytanii. Te oddziały brytyjskie, które pozostają na Malajach, czynią to na życzenie nowego niepodległego członka Wspólnoty. Rząd w Kuala Lumpur zaznaczył już swoją niezależność, zapowiadając, że Federacja Malajska nie wejdzie do traktatu obronnego Południowo-Wschodnio-Azjatyckiego (SEATO). Ale król, Tuanku Abdul Rahman i premier, Tengku Abdul Rahman, rozumieją, że w interesie ich kraju jest korzystanie z pomocy Wspólnoty, zwłaszcza wobec zagrożenia ze strony komunistycznych Chin.

Najważniejszym problemem, od którego rozwiązania zależy dalszy rozwój Federacji, jest problem współżycia ras. Malajczycy mają zaledwie niewielką większość w swoim państwie; niemal połowę mieszkańców stanowią Chińczycy. W ich rękach koncentruje się życie gospodarcze.

Doprowadzenie do współpracy Zjednoczonej Malajskiej Organizacji Narodowej (UMNO), Stowarzyszenia Chińczyków i Kongresu Hinduskiego w Malajach, było w roku 1952 doniosłym osiągnięciem obecnego pierwszego premiera niepodległej Federacji, Tengku Abdul Rahman, niegdyś studenta uniwersytetu w Cambridge, prawnika wykształconego w Londynie, zręcznego polityka, który od lat działał na rzecz niepodległości.

Wrogiem Federacji jest Malajska Partia Komunistyczna, która prowadzi terrorystyczną kampanię dywersyjną. Na otwarciu Federalnej Rady Ustawodawczej, król wystał z nowymi warunkami wezwania bandy i pokoju.

komunistycznych do poddania się. Ulotki rozrzucone wśród dzungli malajskiej, w ilości 12 milionów egzemplarzy, ofiarowują przebaczenie bezwarunkowe wszystkim tym, którzy złożą broń, a tym, którzy nie zechcą wyrzec się komunizmu, obiecują swobodny wyjazd do komunistycznych Chin.

Wielka Brytania raz jeszcze dała przykład zrozumienia dla pragnień ludności Malajów, zrzekając się z dobrej woli panowania i ustalając wspólnie i zgodnie przekazanie suwerenności. Amerykański sekretarz stanu Dulles, w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych złożył hołd „mądrości i trzeźwości” polityki brytyjskiej, stwierdzając, że niepodległość Federacji Malajskiej jest wydarzeniem, które umacnia wolny świat.

### „BRON JĄDROWA I POLITYKA ŻĄGANICZNA”

Henry A. Kissinger napisał książkę pod wyższym tytułem (ogłoszoną równocześnie w Ameryce i w Anglii: „Nuclear Weapons and Foreign Policy”, Harper i Oxford University Press). Autor jest Amerykaninem, w wieku lat 34, zastępca dyrektora Ośrodka Badań Spraw Międzynarodowych na uniwersytecie harwardzkim i doradca politycznym amerykańskiego sztabu.

Książka jest niezwykle szczerym apelem o rewizję założeń amerykańskiej strategii wobec komunistycznego zagrożenia, w myśl tezy, że „państwo może się ostać tylko wtedy, gdy jest gotowe walczyć o swoje rozumienie sprawiedliwości, jak również o swoje życiowe interesy”.

Kissinger przestrzega przed niebezpieczeństwem sugerowania się własnym pragnieniem pokoju i wstrętem do wojny. Międzynarodowy komunizm i państwo sowieckie nie zaprzestają — zdaniem autora — dążyć do panowania nad światem, są nadal „nieprzejdłym wrogiem”. Tymczasem ich dwulicowa strategia stale zaskakuje wolny świat, a szantazowanie groźbą wojny atomowej pozwala Sowietaom osiągać lokalne sukcesy.

Iluzoryczna pogoń Zachodu za „absolutnym pokojem” i niemal wyłącznie zajmowanie się tym jak zapobiec „totalnej wojnie” światowej, sprawiają, że Zachód nie jest przygotowany do oparcia się operacjom „wojny ograniczonej”, które Sowiety stosują, osiągnąwszy równowagę w jądrowych środkach zniszczenia.

**Sowiecka strategia agresji pośredniej** przez dywersję, penetrację, ochotników, pomoc zbrojeniową, ekonomiczną, propagandę i środki wojny psychologicznej, musi spotkać się z oporem równie elastycznym. Obrona wolnego świata, „zależy nie tylko od naszej siły, ale od naszej zdolności rozpoznania agresji” we wszystkich jej formach i odparcia jej odpowiednimi środkami z zakresu „wojny ograniczonej”. Stany Zjednoczone muszą być gotowe na wydatek pieniędzy, ale także i żyć ludzkich, by odeprzeć lokalną agresję komunistyczną odwrotnie i energicznie, w przeswiadczeniu, iż Sowiety także obawiają się światowego konfliktu z nieograniczonym użyciem nowoczesnych broni jądrowych. Kissinger uważa, że należy w tych wypadkach użyć taktycznych broni jądrowych.

Najważniejszym postulatem jest, by zawsze i wszędzie strategia była podporządkowana polityce, tak jak po stronie sowieckiej, z tą różnicą tylko, że polityka zachodnia zmierza do obrony wolności, sprawiedliwości i pokoju.

Wśród wniosków praktycznych, które nawiązuje do ta praca, wskazać można, konieczność należytej ceny intencji sowieckich z porzuceniem pobożnych życzeń; dbałość o posiadanie dostatecznej ilości sił zbrojnych tzw. „konwencjonalnych” obok totalnych narzędzi zniszczenia (których rozwoju i Sowiety nie zaniedbują); zaniechanie przedwczesnych oszczędności w zakresie dobrodziejstwa przyjaciół i pomocy ekonomicznej, która by utrudniła dywersję polityki sowieckiej; decyzyjnie przeprowadzanie kontrakcji do końca (nie tak jak w Korei), nie dopuszczając kapitulacji przed sowieckim straszakiem globalnej wojny jądrowej.

Te wnioski, jeśli będą wprowadzone w praktyce, położą kres zamieszaniu w sprawach strategicznych wśród mocarstw zachodnich oraz zapobiegną lokalnym sukcesom Sowietaów, jakich jesteśmy świadkami na Węgrzech czy na Środkowym Wschodzie.

### LIST MACMILLANA DO BUŁGANINA

Odpowiedź premiera brytyjskiego Macmillana na przydługie i kręte listy premiera sowieckiego Bułganina uwypukla rozbieżność między słowami i czynami sowieckich przywódców. Wskazuje także wyraźnie od kogo zależy poprawa stosunków międzynarodowych: „Powiedzcie słowo — pisze Macmillan — a prawdziwy postęp jest zapewniony”.

Bułganin pisał o rozbrojeniu, Macmillan odpowiada, że „ton i treść wypowiedzi p. Zorina nie były zachęcające”. Istotnie wszystkie propozycje zachodniej demokracji spotykały się z odmową ze strony przedstawiciela Związku Sowieckiego.

Bułganin pisał, że Sowiety chcą pokoju na Środkowym Wschodzie. Macmillan wita z radością to oświadczenie, ale pisze, że postępowanie polityki sowieckiej w tym obszarze „wyglądało inaczej...” Rzeczą, z której strony mamy słowa Bułganina, a z drugiej sowieckie dostawy zbrojeniowe, czołgi, samoloty i łodzie podwodne, podburzanie i oskarżenia.

Bułganin wyrażał pragnienie intensywniejszych stosunków handlowych i kulturalnych. Macmillan odpowiada, że Wielka Brytania niczego innego nie pragnie, ale utrudnienia w wymianie handlowej i turystycznej, zgłaszanie audycji radiowych, ataki propagandowe — ze strony sowieckiej — to fakty, które zaprzeczają słowom. Rząd brytyjski nie może być obciążony odpowiedzialnością za to, że opinia publiczna wstrząsnęta wydarzeniami na Węgrzech, z mniejszym entuzjazmem odniosła się do wymiany kulturalnej z Sowietaami.

„Proszę nie myśleć — pisze Macmillan — że jesteśmy mniej niż wy chętni, by znaleźć sposób dla poprawienia naszych wzajemnych stosunków. Ale Pan wie, że dla narodu brytyjskiego czynny znaczą więcej niż słowa...” Premier brytyjski dodaje, że „lepiej, żeby rozbieżności zostały otwarcie wyrażone, zamiast chowania ich w niejasnych sformułowaniach...”

„Normalne polityczne stosunki (między Wielką Brytanią i Związkiem Sowieckim — pisze londyński „Daily Telegraph” — były zawsze trudne i są nadal trudne, po prostu dlatego, że w sowieckim systemie wartościowanie pojęć i etyka są całkowicie różne od naszych. Nie tylko że nie mówimy tym samym językiem; nie myślimy tymi samymi kategoriami... Sowiety chcą dostać wszystko, albo nic...”



# LUDZIE I ZDARZENIA



**Matka Weronika Serri**, opatka klasztoru św. Klary, pozostaje od pewnego czasu w otwartej wojnie z rządem San Marino. Miniaturowa ta republika — najstarsza zresztą w Europie — jest jedynym położonym na wschód od Łaby państwem rządzone przez partię komunistyczną. Ostatnio, w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego, rząd ten, aby zmusić wszystkich rodziców do posyłania dzieci do marksistowskich szkół państwowych, wydał nakaz zamknięcia szkoły katolickiej, utrzymywanej od 300 z górą lat przez zakon św. Klary. Matka Weronika (fot. powyżej), która ma dziś lat 80 i nie boi się komunistów, odwołała się od tej po-

licyjnej decyzji do Wielkiej Rady Republiki. Spodziewana jest również interwencja biskupa z Pennabilli.

★

**Yuyu Maru 5**, japoński tankowiec o wyporności 33.500 ton, wyposażony został niedawno w najpotężniejszy na świecie silnik okrętowy Diesla, o sile 15 tysięcy HP. Motor ten wybudowały portowe zakłady mechaniczne w Osaka, na podstawie licencji duńskiej. Statek, którego maksymalna pojemność wynosi 45.200 m kubicznych, rozwija obecnie, przy pełnym ładunku, szybkość 17 węzłów. (Zdjęcia, które zamieszczamy, dokonano w czasie pierwszych prób z nowym silnikiem.)

★

**Pomnik Franciszka Józefa I**, zmarłego w roku 1916, po 68 lat trwającym panowaniu, przedostatniego cesarza Austrii, stanął w tych dniach z powrotem w jednym z wiedeńskich parków. Statua ta, która przed ostatnią wojną zdołała przetrwać wojnę, znikła tajemniczo w chwili wkraczania do Wiednia armii sowieckiej. Przed kilku miesiącami odnaleziono ją przypadkiem w podmiejskim stosie starego żelastwa. (Fotografia nasza przedstawia chwilę ustawiania pomnika, które odbywało się o świcie, dla uniknięcia ewentualnych demonstracji).

★



**Przemysł turystyczny** wypłacił we Francji w roku ubiegłym ok. 50 miliardów franków uposażeń swym pracownikom. W tym samym czasie przemysł metalowy wypłacił 47,3 miliardów, a transporty — 43,1.

★

**Olga Deterding**, córka jednego z „królów” nafty, która przed wielu miesiącami wywołała w eleganckim świecie sensację swym tajemniczym zniknięciem, została niedawno odnaleziona przez dziennikarzy w miejscu dość nieoczekiwanym, a mianowicie w osadzie Lambarane stworzonej dla trędowatych i innych chorych mieszkańców afrykańskiej dżungli przez alzackiego lekarza o wielkim sercu, dziś 82-letniego dr. Schweitzera. Sprawa miała — jak się zdaje — przebieg następujący: w czasie przedsięwziętej dla rozrywki podróży przez centralną Afrykę, córka milionera zachorowała gwałtownie na malarię. Przyjaciele odwieźli ją do najbliższego szpitala, który okazał się kolonią w Lambarane. Gdy wyzdrowiała, postanowiła tam zostać, by w miarę swych sił i umiejętności pomagać w pracy lekarzom i pielęgniarkom. Dawni przyjaciele Olgi, a także zawsze dobrze poinformowani redaktorzy rubryk towarzyskich przewidują, że cała sprawa skończy się na małżeństwie. W grę wchodzi mianowicie osoba wyznaczonego już następcy dr. Schweitzera, młodego angielskiego lekarza nazwiskiem Frank Catchpool.

★

**Liczba nowych mieszkań** budowanych w największych krajach Europy zachodniej wynosiła w roku 1956: w Niemczech — 561.000; w W. Brytanii — 307.000, we Francji — 240.000, we Włoszech — 230.000.

